

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o 181.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 14 marca 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VII.

TREŚĆ NUMERU.

Od redakcyi. — Cerkiew św. Bazylego i kościół pojezuicki w Owroczu na Wołyniu (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Korespondencya od redakcyi. — Jan Zyżka z Kalichu (z trzema drzeworytami). — Czerwinsk (z drzeworytem). — Starożytności słowiańskie (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Opowiadania myśliwskie (dokonczenie). — Żywy nieboszczyk. — Heraklesowe drogi. — Przegląd polityki zagranicznej.

OD REDAKCYI.

Tygodnik Ilustrowany wychodzić będzie inądal w tym samym jak dotąd zakre-sie i pod takimiż warunkami.

W kwartale przyszłym rozpoczniemy druk obszerniej powieści *J. Zacharyasiewicza* p. n. *Jarema*.

Cena Tygodnika pozostaje ta sama, to jest w Warszawie:

rocznie rsr. 8 k. —
półrocznie „ 4 „ —
kwartalnie „ — „ 67½

Na prowincyi i w Cesarstwie:

rocznie rsr. 12
półrocznie „ 6
kwartalnie „ 3

z nadmienieniem, że prenumeratorowie z Cesarstwa, otrzymujący tylko sam Tygodnik, płacą kopertowe od każdego egzemplarza rsr. 2 rocznie. Jeśli Tygodnik ma być wysyłany w kopercie innego pisma, to redakcyja uprasza o wyraźne wymienienie tego pisma przy nadsyłaniu pieniędzy.

Szanowni prenumeratorowie na prowincyi zechcą zapisywać się wcześniej na właściwych stacyach pocztowych, od tego bowiem zależeć będzie głównie regularny odbiór pierwszych numerów kwartału.

W razie nieregularnego odbierania numerów Tygodnika, lub otrzymywania ich w stanie uszkodzonym, porozcinane, zmięte, zbrudzone lub podpisywane atramentem, lubo to wszystko nigdy z winy redakcyi pochodzić nie może, raczaj szanowni prenumeratorowie odwoływać się do redakcyi lub zarządu pocztowego w Warszawie, a zażalenia ich załatwiane będą z jaknajwiększym pośpiechem.

Komplety Tygodnika, obejmujące 13 kwartałów w sześciu tomach, mogą być nabywane w redakcyi po cenie: tom I (jako złożony z trzech kwart.) rs. 6, tomy następne po rs. 4.

CERKIEW ŚW. BAZYLEGO I KOŚCIÓŁ POJEZUICKI W OWROCZU NA WOŁYNIU.

Owruć, dziś jedno z najędniejszych miasteczek powiatowych wołyńskich, miał przecież w dawnych czasach chwile blasku i chwały, po których dotąd pozostały ślady w mogiłach i zwaliskach, podaniem, jak bluszczem zielonym, otoczonych.

Z mogił najgodniejszą uwagi jest mogiła Olega Świę-

tosławowicza, udzielnego niegdyś władcy Owruca, który po bitwie stoczonej tuż pod miastem z bratem swym Jaropelkiem, księciem kijowskim, cofając się ku miastu, w poplochu strącony z mostu przez tłoczące się wojsko, śmierć znalazł w fossie, przywalony spadającymi w nią towarzyszami swymi. Jaropelk zwłoki jego uczcił pogrzebem, usypawszy nad niemi kurhan wysoki, nieopodal od miejsca tej katastrofy (977 r.); lecz w 70 lat potem w. ks. Jarosław przewiózł je do Kijowa. Dziś już w tém miejscu niema ani mostu, ani bramy; fossa nawet, a raczej parów, zasypany dla wyrównania ulicy, nieco tylko opodal na lewo od niej widzieć się daje; mogiły zaś, splądrowanej przez archeologów kijowskich, ledwie ślady zostały.

Z ruin najznakomitszą, a raczej najstarożytniejszą, jest cerkiew św. Bazylego, (*) wzniesiona podług podania około 997 roku przez ks. Włodzimirza Wielkiego, który na chrzcie wziął imię tego świętego. Byłaby to więc druga chrześcijańska świątynia na Rusi poza Kijowem. (Piérwsza przez tego księcia ufundowana była we Włodzimirzu wołyńskim). Zwano ją *złotowierzchą*, miała bowiem kopuły kryte blachą złotą, i w ogóle musiała być bardzo bogatą i wspaniałą na swoje czasy. Składała się, jak to widać do dziś dnia, z półokrągłej nawy środkowej i dwóch pomniejszych takichże kaplic, do niej przypierających. W nawie było sześć, w kaplicach po dwa wązkie, okragłemi łukami zakończone okien; nadto także wązkie otwory znajdowały się w blankach ponad sklepieniem. Frontem zwrócona ku zachodowi, na rogach miała dwie okragłe wieże, do których wchód był z wnętrza świątyni. Oprócz drzwi głównych zachodnich, prowadziło do niej dwoje pobocznych, jedno od północy, a drugie od południa. Długość jej wynosiła 30, szerokość 17 łokci. Mury, mające do dwóch łokci grubości, wzniesione z cegły i po części z kamieni spojonych grubemi warstwami wapna, w pewnych odstępach mieściły w sobie garnki, a raczej bańki gliniane, których szyje otwarte równo ze ścian



KOŚCIÓŁ PO-JEZUICKI W OWROCZU. (Rysował z fotografii Kozarski).

(*) Rysunek jej zamieściliśmy jeszcze w r. 1860, w Nrze 31 naszego pisma (Przyp. redak.)

powierzchnią, wprowadzając na domysł, że w tym akustykę na celu miano. (*) Gzymsy były drewniane, powleczone wapnem. W oknach, zamiast ram, deski dębowe, a w nich po trzy, jeden pod drugim, kragłych otworów, zasłoniętych, zamiast szkła, pecherzami. Wewnątrz świątynia wkrós ozdobiona była freskami i złoconiami, których dziś jeszcze ślady widzieć się dają, a zwłaszcza dobrze się zachowały arabeski na niszach okien, oraz wizerunek św. Mikołaja i Matki Boskiej na zewnętrznych arkadach.

Mury te, jakkolwiek do powiązania ich nie użyto żelaza, dotychczas pewnoby jeszcze przetrwały, gdyby nie kilkakrotnie klęski jakim uległy. W połowie 13go wieku świątynię tę złupili i spalili Tatarzy, a w strasznym spustoszeniu całego kraju, długo nie było komu pomyśleć o jej podźwignieniu. Dopiero pod panowaniem polsko-litewskim, gdy kraj już wolny od pogańskich najeźdźców, załudniał się nanowo, wielką boleścią serca wiernych przejmując i podniecając wyobraźnię, obudził w nich pragnienie wznowienia chwały Bożej w tym starożytnym przybytku, który niebawem otoczył się blaskiem zjawisk cudownych i zasłynął w legendach. Powiadano więc, że mury te były dzwignięte nie przez ludzi zwyczajnych, tylko przez świętych Pańskich, w których ręku kamienie, jakby wosk, miękły, zostawiając na sobie ślady ich palców błogosławionych. (*) Powiadano że święci Pańscy z Kijowa, chcąc także uczestniczyć w budowie tej świątyni, szli do Owruca, niosąc materiał z sobą; ale dowiedziawszy się że praca już skończona, powrócili do domu, kamienie porzuciwszy śród drogi, gdzie też do dziś dnia widzieć je można. Powiadano nareszcie, że często wewnątrz tych zwalisk rozlegały się chóry anielskie, że dymy woni kadzideł otaczały je w koło, a Matka Boża i święci Pańscy zstępowali do nich z obłoków. Tak więc ruina ta stała się przedmiotem czci powszechnej, wielką świętością; pospółstwo cegły z niej, jakby relikwie, zmarłym kładło do trumny; aż w końcu pomysłało naprawę o wznowieniu służby Bożej w tym przybytku. Lecz że w kraju ubogim zabrakło środków do podźwignienia świątyni ze zwalisk, poprzestano więc tylko na zbudowaniu śród starych murów nowej kaplicy drewnianej, która podczas wojen kozackich, wraz z całym miastem, zburzoną została (1578). Zbudowana powtórnie, znów stała się pastwą płomieni (1649), dzielającą w tym nieszczęśliwą dolę Owruca, który za panowania Jana Kazimierza kilkakrotnie był przez kozactwo łupiony. Odnowiona raz trzeci, wolna już od wojennej pożogi, nie oparła się przecież niszczącej sile czasu i 1784 r., wraz z otaczającym ją murem dawnej świątyni, przysła do tak smutnego stanu, że z obawy nagłego jej zawalenia się, zamknąć ją wreszcie musiano, przeniosłszy wszelkie sprzęty do kościoła św. Mikołaja, wzniesionego tu przez unitów 1748 r. i trwającego dotychczas. W tej puszczyźnie po cerkwi św. Bazylego, na szczególną zasługującą uwagę dwa byzantyjskie obrazy Matki Boskiej i św. Mikołaja, które tradycja odnosi do czasów Włodzimierza Wielkiego, a lud cześć wielką otacza, moc cudotwórczą im przyznając. Obrazy te, malowane na drzewie, szaty i aureole mają ze złoconego i srebrzonego płótna z wyciskami, a farby na nich, równie jak posrebrzenie i pozłota, do dziś dnia zdumiewająco uderzają świeżością.

Ale wróćmy do ruin cerkwi świętego Bazylego. Cegły do jej murów użyte są koloru żółtego, nie grubsze nad dwa cale i prawie kwadratowej powierzchni; cement je spajający warstwami równą z piaskiem i okruciami cegły, a tak jest mocny, że go od nich niepodobna oddzielić. To też zwaliska te, jakkolwiek potrzaskane, poszczerbione i podkopane, dobrze się jeszcze trzymają, a pochyłony filar, w górze oparty na bocznej ścianie, w dole zaś naokoło wykruszony w kształt ostrokręgu, zdumiewa swą niezwykłą trwałością.

Wszelako niepodobna i myśleć, aby gmach ten można było odnowić; zbierając wprawdzie składkę w Rosyi całej na podźwignienie tej świątyni; lecz, jak mnie mam, summa z czasem zebrana posłuży raczej na

(*) Jest tradycja, jakoby pogańscy jeszcze Drevlanie, zwabieni przez ciekawość do tej świątyni, posłyszawszy śpiew religijny, cudnie się pod jej sklepieniem rozlegający, tak nim byli zdumieni i zachwyceni, iż prosili, aby i im też pozwolono tam huknąć (zaśpiewać), za co przyrzekli składać corocznie do kościoła daninę z miodu. Danina ta, zwana hukowszczyzną, podług tej wieści, utrzymywała się aż do ostatecznego ustania służby Bożej w tym miejscu.

(*) Istotnie niektóre z tych kamieni, dzisiaj widoczne na zewnętrznej powierzchni muru, noszą na sobie jakby wachlarzowate żłobki i guzy, które p. A. Przeździecki, w swoim opisie Owruca, bierze za sztuczną ozdobę, kiedy tymczasem jest to tylko naturalny ich odłam.

wzniesienie w tym miejscu nowej zupełnie cerkwi, podług planu dawniejszej, który zdjęto najwierniej, póki jeszcze zwaliska w gruz się nie rozpadły.

Drugą znakomitą ruiną w tym miasteczku, jest najpiękniejsza niegdyś jego ozdoba, klasztor wprzód jezuitski, a potem bazyliński, który na rycinie założonej daje się widzieć wraz z kościołem, stanowiącym dziś prawosławną cerkiew soborną.

Kościół i klasztor ten fundowane były 1678 r., jak to z następującej uchwały sejmowej widać:

„Ponieważ obywatele województwa kijowskiego, bez kapłanów i kościoła teraz zostający, *ultra a partibus Soc. Jesu* tego żądają aby kolegium z Ksawerowa z między lasów, do Owruca *in medietullum* Polesia przeniesli, na to im pół góry, gdzie horodnie swoje szlachta miewali, w bezpiecznym miejscu dla kościoła i szkół wystawienia konferując, tedy my to aprobujemy.“

Kolegium ksawerowskie założone było przez ks. Ignacego Jelea, i zwało się owruckim, dopóki przy nim za przywilejem Władysława IV tenże ks. Jelec nie osadził miasteczka Ksawerowa (*) 1634 r.; gdy zaś po spustoszeniu wojennym przeniesiono je wraz z konwiktem młodzi szlacheckiej do Owruca, otrzymało podówczas nazwę *Xaver-Ovrucense Collegium* i trwało tu aż do suppressy zgromadzenia, to jest do 1773 r.; poczem kościół i klasztor, a z nimi i ster nauk, objęli bazylianie i aż do swęj kassaty w 1831 r. dom Boży, równie jak szkoły, w wielkiej utrzymywały świetności.

Kościół ten wraz z klasztorem wznosi się w miejscowości bardzo malowniczej, na stromym wzgórzu, z którego otwiera się piękny i rozległy widok na okoliczne równiny, gęsto wioseczkami zasiane. Wzgórze otoczone w koło parowem, boki u spodu ma cegłą obmurowane, a mostem, na wysokich zbudowanym arkadach, łączy się z miastem, do którego pod ziemią szła niegdyś droga wjazdowa.

Za czasów jezuitskich klasztor, oprócz korpusu po za kościołem, miał tylko jedno skrzydło poboczne (prawe), lewe zaś przez bazylianów przybudowanym zostało, który oprócz tego górę z tej strony zaopatrzył w ogromne, murowane, wygodne, dachem pokryte schody. Dzisiaj tych schodów niema już ani śladu; lewe skrzydło klasztoru, walące się, z dachu odarte, z oknami wytłuczonymi, żałosny widok przedstawia; prawe zaś z częścią po-jezuicką głównego korpusu, na turmę powiatową i na odwach miejski użyte, jakkolwiek niemniej smutne, dość dobrze jeszcze się trzyma; lecz i to pewnie po ukończeniu zamku turemnego, co się obecnie poza miastem buduje, jako już niepotrzebne, również w zwaliska się obróci.

Szkoda tych pięknych, wspaniałych gmachów, zwłaszcza że dziś Owruć ubogi, nie ma żadnego porządniejszego budynku, nietylko na prywatny, lecz nawet na publiczny użytek. Sąd powiatowy mieści się w klasztorze po-dominikańskim, policja w najętym domu żydowskim, również jak i kancelarya marszałka; szkoły też do niedawna komorne płacić musiały, a teraz wzniesiony kosztem obywatelskim, dość skromny, drewniany dom zajmują; turma nareszcie kilka kroć sto tysięcy kosztować będzie; wszystko zaś to, a przynajmniej jurysdykcyę i szkoły, wysmienity miałyby lokal w murach niegdyś klasztornych, które dawniej prócz zakonników, po kilkaset, a nawet i po tysiąc uczniów w sobie mieściły, a przy odrobinie zabiegłości, długieby wieki trwać jeszcze mogły, gdyby ich zrazu nie zaniedbano samochoć. Dziś już zańdło wielkich kosztówby na to potrzeba, aby je z ruin podźwignąć.

Kościół tylko, oddany duchowieństwu prawosławnemu, stosownie przerobiony wewnątrz i zewnątrz, w zupełnie dobrym utrzymuje się stanie; lecz oprócz tronu opata, oprócz kilku obrazów i pilastrów z dawnych ołtarzy, oprócz dwóch w presbiterjum zawieszonych u góry po obu jego stronach galeryj, na które wiodły niegdyś z klasztoru drzwi dziś zamurowane, oprócz wreszcie ambony, żadnych w nim więcej śladów przeszłości niema, ani tablicy erekcyjnej, ani jednej literki napisu. Wieść krąży, jakoby fundator tego kościoła złożony był w podziemiu na wieki spoczynku. Za fundatora zaś słusznie uchodzić winien ks. Ignacy Jelec, „który z własnej ojcowizny swęj fundował kolegium i konwikt na młódz szlachecką powiatu owruckiego uczynił, a pewne dobra swoje na konwikt dla mistrzów i nauczycieli, którzyby zarosłe i zdziczałe dowiecy ich ćwicząc, woli Boskiej i życia przystojnego w nich cnoty szczepili, zapisał.“ (Przywilej Władysława IV na osadzenie miasta Ksawerowa 1634 r.) Lecz niepodobna wysledzić ażali kolegium ksawerowskie za życia jeszcze ks. Jelea do Owruca przeniesionem zostało.

(*) Jest to dziś jedno z najładniejszych miasteczek w powiecie, o 5 mil od Owruca odległe.

Oprócz sklepów kościelnych, w całej też górze mają się lochy znajdować, lecz wniść do nich zawalone zupełnie i nikt w nich pewno o czasów jezuitskich nie postąpił... A kto wie? może tam pełno wielkich skarbów i dziwów, o które wartoby się pokusić?...
Adam Pług.

Kronika tygodniowa.

....Dochodziliśmy właśnie do placu teatralnego a Julian stawał się coraz niespokojniejszym; co chwila oglądał się na prawo i na lewo, parę razy zajął do zegarka, nareszcie rzekł:

— Wiesz co... muszę się z tobą pożegnać.

— Jakto?

— Jedenasta godzina, mam tu interes pilny, konieczny, muszę do kogoś wstąpić.

— Ale wszakże powiedziałeś mi, że pójdziemy razem, że jesteś zupełnie swobodnym i możesz mi pół dnia poświęcić.

— Tak jest, ale przypomniałem sobie... powiadam ci, że pilny interes.

— No kiedy już tak koniecznie musisz iść, to nie przeszkadzam, idź sobie... Ale wszakże się zobaczmy niezadługo, nieprawdaz?

— Do widzenia, odpowiedział ściskając mnie za rękę.

I poszedłem dalej, zdziwiony trochę tym pilnym interesem, który tak nagle wypadł Julianowi.

Zaledwie uszedłem kilka kroków, usłyszałem wołanie za sobą.

Obejrzałem się i zobaczyłem Juliana biegnącego i dającego mi znaki ręką.

Przystanąłem.

— A możebyś poszedł ze mną? rzekł dobiegłszy.

— Gdzie?

— Tutaj, o kilka kroków. I ręką wskazał mi na wielkie okno od sklepu, w którym rozwieszono były przeróżne dziczyzny, zamorskie przysmaki, butelki pękate i wysmukłe, świeże i oplesniałe, porcelanowe flaszki od likierów i rozmaite inne tego rodzaju zasadzki na podniebienie ludzkie.

— Do kupca? zapytałem.

— A tak, odpowiedział, jedenasta godzina z rana, sam czas na śniadanie; zabawimy tutaj pół godzinki, a potem pójdę z tobą gdzie tylko zechcesz.

— Ale wszakże powiedziałeś mi przed chwilą, że masz pilny interes.

— Rzeczywiście, odrzekł zakłopotany trochę, pilno mi było, bo właśnie śniadaniowa godzina wypadła i apetyt się odezwał... chciałem tu wstąpić.

— I dlaczegożeś mi tego nie powiedział od razu?

— Bo... mówił Julian, z coraz większym zakłopotaniem, nie wiem dlaczego, ale... wstydzilem się trochę... Człowiek bywa czasem w tak dziwnym usposobieniu... No, ale pójdźmy.

I biorąc mnie za rękę, chciał mnie koniecznie do kupca prowadzić.

— Dziękuję ci, odpowiedziałem, nie pójdę.

— A to znowu co? Czyś się obraził żem cię odrzu nie zaprosił? Nie spodziewałem się po tobie, żebyś tak łada drobnostkę chciał brać na seryo.

— Nie obraziłem się, ale nie pójdę, bo nie lubię śniadań, uważam je jako zmarnowanie czasu i pieniędzy i w ogóle nie mam zwyczaju chodzić do kupców.

— Jak to? ty, literat!

— Właśnie ja, literat. Czyż myślisz że kilkogodzinne przesiadywanie za stołem pokrytym bibułą przemoczoną winem i sosami, należy do przywilejów naszego powołania?

— Nie mówię tego, zdawało mi się jednak, iż literaci chętnie przyjmują tego rodzaju zaproszenia. Wiem nawet że niektórzy z was mają, a przynajmniej mieli, swoje uprzywilejowane handle, w których zawsze prawie o pewnych godzinach spotkać ich można było.

— Nie przeczę, chociaż dzisiaj w części ustalo to jakoś, i dobrze że ustalo. Nie wiem czy pamiętasz, co mieszczaństwo paryżkie mówiło o Ludwiku Filipie, kiedy go wynoszono na tron francuski. „Wybieramy tego króla, mówili oni, nie dlatego że jest Burbonem, ale pomimo że jest Burbonem.“ Otóż to samo można by powiedzieć o literatów i handlowców winnych zastawiać. Byli ludzie prawdziwie zdolni, którzy swego czasu lubili zaglądać do butelki i marnować kilka godzin dziennie nad stołem śniadannym. Owóż wówczas naśladownictwo tak weszło u nas w modę, że ci ludzie znaleźli pomiędzy literatami minores mnóstwo naśladowców. Myślano wtedy że rozum, nauka, talent, idą w ślad koniecznie za knajpowaniem

to jest za najnieogłędniejszym marnowaniem czasu; myślno że tacy ludźmi dlatego się właśnie tak dobrze wiedzie, że więcej od innych piją i jedzą. I po- częli wszyscy śniadankować na urząd, nie pojmując że jeżeli tamci doszli do czegoś, to nie dlatego że lu- bili śniadania, ale *ponimo* że je lubili. Ze zmianą je- dnakże okoliczności, ustało to wszystko. Dzisiaj bar- dzo niewielu obstaje już tylko przy tej starej me- to- dzie pojmowania zawodu literackiego. Co do mnie, nigdy śniadań bardzo nie lubiłem, a dzisiaj mniej do nich jestem skłonny niż kiedykolwiek. Mnóstwo le- pszych i użyteczniejszych zajęć znajdzie się na te cza- sy, i dziwię się nawet tobie, że tak nie możesz się obejść bez wstąpienia do kupca.

— Ależ bo, rzekł, ratując się cytacją łacińską, *consuetudo est altera natura*, zawsze mnie tam coś ciągnie.

— Igdybym choć mógł pomyśleć, że towarzystwo które tam zastaniesz nęci cię tak bardzo. Ale wiem ja dobrze jacy ludzie obecnie bywają u kupców i przesiadują tam porannymi godzinami przy butelce i zakąskach. Są to zazwyczaj tacy, u których myśl i serce, uczucie i godność, miłość i dobra wola, prze- szły do gardła i żołądka. O tych śniadankowiczach dzisiejszych można powiedzieć, że są to wiory spo- łeczne, z których nigdy już żadnego użytku nikt nie wyciągnie. Wszystko w nich zamario, oprócz mo- żności trawienia jada i polykania napojów. Wstają rano z bijącym sercem, czy wypadek jaki nie prze- szkodził przyjęciu świeżych ostróg, a wieczorem szu- kają w gazetach ogłoszeń o nowo nadeszłych przy- smakach. Żyją tylko przez te kilka godzin, które prze- pędzają w dymnej i zatęchłej atmosferze winiarni, a reszta dnia jest dla nich tylko wspomnieniem dzi- siejszego i tęsknotą do jutrzejszego śniadania. I ty, człowiek którego znałem przecież myśląc i wy- kształconym, wybierasz sobie punkt oparcia pomie- dzy temi ludźmi i tak tęsknisz do ich towarzystwa, iż nie możesz przejść koło miejsca gdzie się zwykle zbierają, żeby cię coś tam koniecznie nie pociągnęło! Wstydz się!

— Właśnie że myślisz się, odpowiedział Julian; nie mam tam żadnego towarzystwa i nie szukam go. Owszem, zwykle sam siedzę, nie zaczepiając innych i nie lubiąc nawet żeby mnie kto zaczepił. I nietylko nie wdaję się w rozmowę z innymi, lecz o ile mogę unikam jej.

— Tęm gorzej, odrzekłem, bo w takim razie to już chyba u ciebie w monomanią przeszło. Powiedziałem ci że z zasady nie lubiłem nigdy tych ostrógowych i kieliszkowych rozrywek; ale ponieważ znałem wielu ludzi rozumnych i wykształconych, którzy w tym wzglę- dzie okazywali odmienne zupełnie usposobienie, wzię- ła mnie ciekawość zapytać się jednego z nich, w czym leży ten dziwny pociąg, którego sobie wytłumaczyć nie umiem. „W towarzystwie jedynie, odpowiedział mi. Gdyby mi przyszło samemu zjadać śniadania i wypijać butelki wina, ręczę ci że bardzo prędko prze- stałbym znajdować w tym przyjemność. Ale zwykłem tu spotykać kilku ludzi, których znam dobrze i z któ- rymi bliskie łączą mnie stosunki. Otóż ci ludzie są właśnie tęp, czego tu szukam. Tak w zwyczajnych okolicznościach, zebrawszy się na pogawędkę jeden u drugiego, nie mielibyśmy może sobie nic do po- wiedzenia; ale przy stole śniadannym zmienia się po- stać rzeczy. Tutaj rozwiązują się języki, roświeltają mózgi, kwestye same wychodzą na stół. Nie uwierzysz jak tu i panieć jest lepsza, i pojęcie bystrzejsze, i sło- wa łatwiej płyną. Jakaś serdeczność wchodzi w ludzi, więcej się kocha, łatwiej się godzi z innymi. Świat wydaje nam się lepszym, a przedewszystkiem zaba- wniejszym. Historyjki i anegdotki sypią się jak z rękawa, płyną dowcipy, rozwiązuje się język tym, któ- rzy małowinni są w zwykłych okolicznościach; glu- piec nabiera rozumu, rozumny staje się genialnym. Szczerość i przyjacielskość panuje pomiędzy na- mi. Zadymony pokój u kupca winnego, jest dla nas Arkadyą dziewiętnastego wieku. *Et ego sum Arcadius*. Ale trudno ci to wytłumaczyć: żeby pojąć dobrze te wszystkie wrażenia, trzeba ich samemu doświadczyć. Kto nie ma danego sobie od natury śniadannego po- wolania, ten nie pojmuje co to jest prosta i niewy- muszona zabawa. Bo jeżeli nie potrafiś w miarę iść z innymi, jeżeli pozostajesz w tyle, jeżeli nastrój we- sołości który wszystkich ogarnia, ciebie pozostawia zimnym,—to wstań już lepiej i opuść swoje miejsce, bo przy śniadannym stole nie już nigdy z ciebie nie będzie. Dlatego też tych którzy spóźniają się, zmusza- my żeby odrazu odrobili wszystkie swoje zaległości, bo tym tylko sposobem potrafią się oni nastrój do miary nas wszystkich i nie być fałszywą nutą w har- monii naszego towarzystwa. Tak jest, mój drogi, mów sobie co chcesz, moralizuj na prawo i na lewo, a ja

ci zawsze powiem, że niemała w tęp wszystkich le- ży przyjemność. Jeżeli tego nie rozumiesz, żałuję cię, ale ci nie zazdroszczę i za nic w świecie nie chcia- bym się swoich przyzwyczajęń pozbyć.“ Tak mi od- powiedział wówczas człowiek, którego nie mogłem wcale posądzać o brak inteligencji. Jest to niewąt- pliwie fałszywa strona ducha ludzkiego, ale trudno jej istnienia zaprzeczyć. W najgorszym więc już ra- zie pojmuję ten jakiś pociąg do towarzystwa pragną- cego się pozbyć wszelkiego przymusu i wszelkich tak zwanych konwenansów światowych. Ma to nawet nie- jaki stosunek z owym coraz szerzej rozgależającym się życiem klubowym, na które obecnie tak się skar- ża na Zachodzie, z owym zobojętnieniem do towa- rzystwa kobiet, a zaprzędaniem się dymowi cygaro- wemu i grze kartowej, które to nalogi moralści za- graniczni wyrzucają dzisiejszemu pokoleniu. Więc po- wtarzam, jeżeli nie tłumaczę tego zbroczenia, to przy- najmniej rozumiem jego powody, leżą one bowiem w oświeśności ducha, w rozleniwieniu umysłowem, w chwytaniu tylko najgorszych, ujemnych stron dzi- siejszej cywilizacji. Ale samotnictwa w knajpowaniu ale mnihostwa w pijaństwie, ale codziennego chodze- nia, i to w roku pańskim 1863, do handlu winnego, dla przyjemności wypicia tam butelki albo półbutelki jakiego trunku, obciążenia żołądka niestrawnością i wydania pieniędzy, które na tysiące potrzebniejszych i użyteczniejszych rzeczy dałyby się spożytkować,— szczerze wyznaję, nie rozumiem zupełnie, i będę ci niesłychanie wdzięcznym, jeżeli to usposobienie swo- je zechcesz mi po ludzku jakoś wytłumaczyć.

— Czy wiesz kto był Apolloniusz z Tyany? zapy- tał Julian.

— No, nie bez tego żebym nie czytał cośkolwiek o tak ważnej postaci w dziejach ludzkości, odpowie- działem, zdziwiony trochę tępem nagłym zbroczeniem z do- tychczasowego toku rozmowy. Był to znakomity uczo- ny, wielki myśliciel, wielki mistyk, chociaż obok te- go i oszust może trochę. Bo przynajmniej spotkanie się jego z Neronem nie przynosi mu zaszczytu i zda- je się wręcz zaprzeczać całemu jego życiu.

— Nie o to tu idzie, chociaż wyznaję szczerze, iż owa jedyna chwila słabości ducha jaką zarzucają (mo- że mylnie) Apolloniuszowi, wcale mnie nie zdziwiła i że rozmowa z takim człowiekiem jak Neron, nawet dla najznakomitszych mistyków, miała pewne swoje niedogodności. Ale wiesz zapewne, jeżeliś czytał o Apolloniuszu, jakie mu dary nadprzyrodzone przypis- ywano.

— Twierdzono że znał wszystkie sztuczki pitago- rejskie, a nawet egipskie, chaldejskie i indyjskie, że był cudownym lekarzem, uzdrawiającym za dotknię- ciem ręki, że wywoływał duchy, że przepowiadał przyszłość...

— Wszystko to nic; mówię tu o jednym daleko znakomitszym darze, który stanowił właśnie jego spe- cyalność mistyczną.

— To już, wyznaję, nie domyślam się o czym chcesz mówić.

— A przecież wiadomo ci, bo na to się zgadzają wszyscy jego biografowie, mianowicie Philostrat, że Apolloniusz rozumiał mowę zwierząt i ptaków.

— A tak, przypominam to sobie, chociaż szczerze mówiąc, tak to, jak i rozmaite inne cudowne rzeczy które mu przypisują, nie wydają mi się zasługują- cemi na wiarę i zakrawają trochę na bajkę.

— Mniejsza o twoje mniemanie pod tym wzglę- dem; ja tylko tyle ci powiem, że przymiotów Apol- loniusza z Tyany, któremu zaprzeczasz, i ja także po- siadam w pewnym stopniu.

— Jakto?

— Więcej nawet: Apolloniusz rozumiał mowę zwie- rzząt czworonożnych, ptaków, płazów, owadów, sło- wem wszystkich istot żyjących; dla mnie zaś dostę- pna jest mowa rzeczy nawet nieżywotnych, przed- miotów które najmniejszego stosunku z organizmem zwierzęcym i roślinnym nie mają.

Odstąpiłem o dwa kroki, przypatrując się z uwa- gą Julianowi, zdawało mi się bowiem że zmysły stracił. I gdybym nie wiedział dowodnie, że się dopiero wybiera na śniadanie, byłbym sądził że go spotykam po dokonanych już bojnych libacjach.

Ale Julian odgadł zaraz to wrażenie jakie na mnie słowa jego uczyniły.

— Dziwisz się, rzekł, ale przestaniesz się dziwić, skoro ci wyznam całą prawdę. Wydaje ci się to nie- wytłumaczonem, że przepędzam całe ranki na samo-

tnem, jak twierdzisz, śniadankowaniu. Otóż czynię to dlatego, że wtedy między mną a każdym kielisz- kiem jaki kolejno wychylam, zawiązuje się bardzo zajmująca rozmowa.

— Aha, hic locus ubi Troja fuit! zawołałem ucie- szony, że zaczynam już cokolwiek rozumieć z tej ca- łej gawędowej płatany.

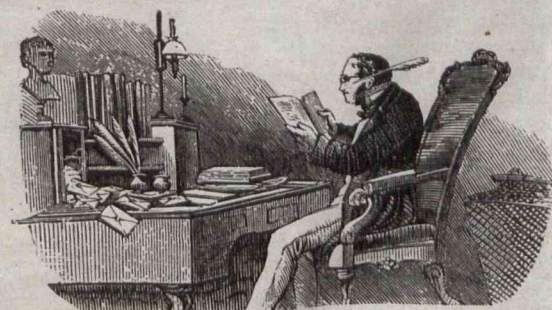
— A tak, tak, trafieś w samo cetno, odpowiedział uśmiechając się Julian. Wiesz dobrze iż bywają chwi- le, że człowiekowi tęskno jakoś na sercu, a atmosfę- ra tak cięża nad głową, jak gdyby do pokładu po- wietrznego przyczepione były bryłki ołowiane. Owóż w takim usposobieniu ciała i duszy, (a zanotuj so- bie że od pewnego czasu zawsze ono po wstaniu z łóżka mnie napada), wychodzę na ulicę, idę do han- dlu i każe sobie podać pół porcyi byle czego, z do- datkiem butelki wina. Zabierając miejsce, staram się ułożyć gdzie w najciemniejszym i najbardziej odo- sobnionym kącie. Garson stawia przedemną żądany posiłek i odchodzi. Wówczas nalewam sobie pier- wszy kieliszek wina, staram się odosobnić w duchu od wszystkiego co mnie otacza i poczynam się rozmo- wa pomiędzy mną a kieliszkiem. Z początku bywa ona dość nudna i mało znacząca. I ja i on żalimy się na czasy, na ludzi, na okoliczności, ubolewamy nad sobą i wydajemy westchnienia. Nawet przyznam ci się, że ten pierwszy kieliszek niebardzo bywa roz- mowny i zbyt melancholizny. Ale przy ukazaniu się na stole drugiego, postać rzeczy zmienia się już tro- chę. Zaczyna się poufniejsza rozmowa, wzajemne zwie- rzania, wróżby, pociechy. Języki nasze (a mówię tu o języku kieliszka w znaczeniu przenośnem), rozwią- zują się wtedy i jakoś rozjaśnia się dokoła horyzont. Sprawę którą rozpoczął drugi kieliszek, trzeci, czwar- ty i piąty prowadzą dalej; znikają chmury otaczające nas, człowiek czuje się lżejszym, spokojniejszym, we- selszym; zdaje mi się że jak Atlas świat cały uniósł- bym na barkach. A kieliszki jeden po drugim mówią do mnie: „Bądź dobrze myśli; Bóg opiekuje się tym światem, więc złe być na nim nie może. Zadowole- nie jest zasadą, a troska przypadkiem. Zwątpieś o so- bie, a patrz jak ci krew szybciej w żyłach płynie, jak serce mocniej uderza, jak myśli same napływają do głowy. Żyj zdrow bracie, bo ja wiem czem jesteś i potrafisz ocenić ile pocziwości i przymiotów mieści się w twojej duszy. Ale przez wzgląd i pamięć na to mo- je zajęcie się tobą i zbadanie twojej natury, i ty także nie zapominać o mnie, przychodź często mnie odwi- dzać, a im częściej, tęp lepiej.“ I z przedostatnim kie- liszkiem, intonujemy już chór wesela, a po wychyle- niu wszystkich, wychodzę lekki, zdrow, wesół, i star- czy mi tego zapasu pociechy i zadowolenia na całą resztę dnia.

— Znam dobrze tę piosenkę, odpowiedziałem. Już ja Krasicki dokładnie wyspiewał. Przeczytaj znaną jego satyrę.

— Albo to prawda? rzekł Julian, wszak wiadomo że i Krasicki inaczej nieraz pisał, a czynił inaczej. Jak on, tak i wielu innych. Ale żegnam cię, bo mi tęsk- no już do zwykłych mych interlokutorów.

I ścisnąwszy mnie za rękę, wszedł do handlu.

A ja poszedłem dalej, rozmyślając nad tęp, że po- kolonia mijają po sobie, a wady ich i zbroczenia po- wierzchnową tylko zmieniają postać.



Panu Włodzimierzowi C. Więsz p d tytułem *Tęsknota* drukowanym być nie może.

Panu M. W. w Kamieńcu Podolskim. Artykuł p. n. „Słó- wo o postępie u nas“ odebrał mi. Jest to przedmiot wiele już razy w piśmiennictwie naszym dotykany; potrzeba więc wielkiej siły talentu i rozumowania, ażeby upatrzyć w nim strony nowe i uczynić go dla czytelników zajmującym.

Nr. 4ty Wędrowca wyszedł z druku i zawiera ar- tykuły następujące: Przygody Augusta Biarda w Bra- zylji (z 7 drzeworytami); — Przegląd literatury zagra- nicznej, Salambo, (ciąg dalszy); — Roslinność Madery (z 3ma drzeworytami); — Korrespondencją literacką z Lipska i biografią Humboldta (z drzeworytem).

JAN ŽYŽKA Z KALICHU.

Imię Žyžki słusznie stoi na czele historii husytyzmu. Gdyby Žyžka nie był zajaśniał swą niezłomną energią, swym rycerskim geniuszem, nie wstrząsnąłby husytyzm Europy, lecz w samym początku zgniotłaby go przemoc nieprzyjaza. Žyžka zagorzał dla husytyzmu całym zapalem namiętnej duszy, w nadziei że przeprowadzi swe idee; jakoż mówi iż celem jego jest: „prawdę zakonu Bożego wyswobodzić, a język czeski i słowiański podnieść.“ W przeprowadzaniu tych idei był fanatykiem, i wkrótce spotkałby go los wszystkich zagorzańców, gdyby obok tego nie posiadał geniuszu. Žyžka błyszczy jako bohater, mówi Palacki, w rzędzie owych sławnych i rzadkich w historii rycerzy, którzy szczycić się mogą, że w boju nigdy nie doznali porażki.

Dokazać rzeczy tak nadzwyczajnej, mógł tylko mąż znakomitym wojennym geniuszem obdarzony, a Žyžka geniusz ten posiadał w wysokim stopniu. Odnaczał się on wszystkimi darami potrzebnymi dzielnemu wodzowi; był nie tylko zręcznym organizatorem, lecz i walecznym rycerzem, doskonale wyćwiczonym w swęj sztuce. Husyckie cepy nabyły sławy w całej Europie, zarówno jak husyckie tabory. Žyžka, gdziebyś się znalazł, powiązawszy wozy łańcuchem, robił z nich małą warownię, tém użyteczniejszą, że była przenośną i do napadu użyć się dawała. Woznice jego posiadali niezmierną wprawę i z godną podziwu szybkością, na dany przez wodza rozkaz, formowali się w przepisany porządek. Žyžka wyćwiczyl całe swe wojsko tak dokładnie, że zawsze organiczną całość stanowiło, wykonywając swe ruchy i obroty w oka mgnieniu.

Pragnął jedynie wyswobodzić Czechy, a zakon Boży utrzymać w czystości. Nie dbał o własną korzyść, nie starał się o majątek, władzę i sławę, a umarł ubogim wojownikiem. Napróżno król Zygmunt usiłował go podejść, napróżno obiecywał mu zarząd królestwa czeskiego, naczelnictwo swego wojska i wielkie summy pieniężne, jeśli dlań osiągnie koronę czeską i zniewoli swych rodaków do posłuszeństwa. Žyžka nie uległ tym obietnicom, pozostając niezachwianym w raz powziętym postanowieniu. Tę siłę woli wyrażała i zewnętrzna jego postać, niewysoka wprawdzie, ale silna, o szerokich barkach i piersiach. Twarz okragła, nos orli, usta dość grube, świadczyły o niezwykłej energii. Nośił ciemno-blond brodkę, wedle obyczaju dawnych Polaków, i odzież kroju polskiego. Od młodości nie widział na jedno oko; przy obleganiu zaś zamku Rabu ośleplł zupełnie. Że nie był nieoświeconym, jak go opisują rzymskiego dworu stronnicy, mianowicie Eneaszy Sylwiusz i Hajek, lecz że przeciwnie odznaczał się literackim nawet ukształceniem, świadczą jego listy i sztuka wojowania (Wybor z literatury czeskiej. Dł II, część I, swazek 4, str. 271—282). Stare podania mianują go twórcą wojennej pieśni taborów: „Kdo jeste boży bojownicy a zakona jeho.“ (Tamże str. 283—284).

Nie chcąc się opierać na bajecznych podaniach, wyznać musimy, że z przed-husyckiego życia Žyžki niewiele posiadamy szczegółów. Z pewnością tylko wiemy, że urodził się ku końcowi XIV wieku w Trocnowie, dziedzicznej wsi ojca swojego, w wschodnio-południowej części Czech, blisko miasta Budziejowice. Od młodości szukając szczęścia w świecie, był paziem cesarza Karola IV, a poświęciwszy się potem sztuce wojennej, służył długo w polskim wojsku, gdzie odznaczył się mianowicie w bitwie pod Grunwaldem roku 1410. Wróciwszy do ojczyzny, zyskał

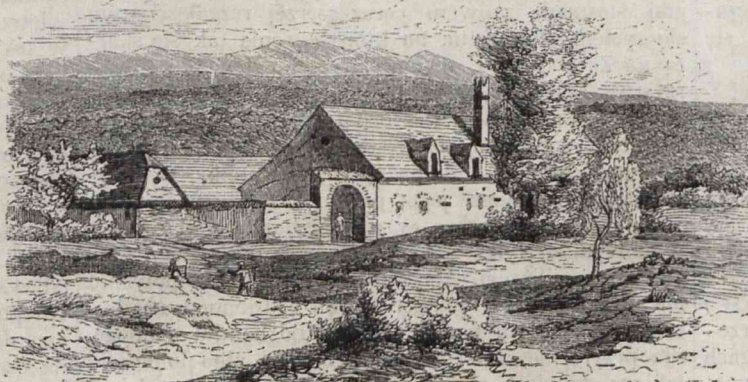
przyjaźń króla Wacława, który go na swój dwór przyjął.

Skoro postanowił już bronić husytyzmu, najprzód usiłował odwrócić grożący rozdział między królem a na-

święcić życie i majątek dla króla swojego.“ Przerazony król zaniechał swego postanowienia; a odgadując zamiary Žyžki, udał się do zamku kundrackiego niedaleko Pragi, wyrzekając się odtąd jawnie husytyzmu. Žyžce nie pozostawało teraz, jak ze sługi królewskiego stać się agitatorem, i bądź co bądź, bronić husytyzmu, w zwycięztwie którego widział tryumf swych idei.

Niespodziewany wypadek postawił Žyžkę wkrótce na czele ruchu religijnego. W niedzielę dnia 30 lipca 1419 r. szli wyznawcy kielicha (4) z processją około nowomiejskiego ratusza, gdzie ich przeciwnicy rzucali kamieniami z okien na ludzi i na Najświętsze Sakramenta w monstrancyi. Wtedy gniew ludu wybuchł gwałtownym czynem. Žyžka rzucił się na ratusz i wszelki opór wkrótce został pokonany. To było pierwszym gwałtownym wybuchem husytyzmu.

Wkrótce skutkiem śmierci króla Wacława (16 sierpnia), wszystkie więzy posłuszeństwa i karności się rozpręgły. Lud uderzał na klasztory i kościoły, wypędzał księży i niszczył kościelne przybory. Stało się to nie tylko w Pradze, ale i w Piskiu, Kletowie, w Pilźnie, w Kralowie-Hradcu, w Žatecu i w Łonach. Następca tronu czeskiego, Zygmunt, mieszkał wtedy w Węgrzech. Mając zamiar iść na Turków, ogłosił o-



TROCNÓW, MIEJSCE URODZENIA ŽYŽKI.

rodem czeskim, samego zaś króla nakłonić do przeprowadzenia swego planu. Kiedy Wacław Prażanom przykazał, aby broń na Wyszehradzie złożyli, wpłynął na nich ze dobrowolnością przed królem się stawili, a sam, stanąwszy na ich czele, przemówił w te sło-

wdowiałą królową Zofią władczynią królestwa czeskiego, a Wincentego z Wartenberga, ówczesnego namiestnika, dodał jej za głównego doradcę. Sam usiłował tymczasem uspokoić lud czeski blahami obietnicami. Czechowie podzielili się na trzy stronnictwa: na *katolików*, przywiązanych do Zygmunta, na *kielichowców*, idących za królem tylko w rzeczach politycznych, ale nie w religijnych, i na czystych *husytów*, całkiem przeciwnych Zygmuntovi. Że Žyžka do ostatnich należał, zdaje się nie ma potrzeby objaśniać. Przewidując bój nieunikniony, naprzed już obmyślał środki, jakimiby mógł zapewnić zwycięztwo swego stronnictwa, a tém samém i powodzenie swych planów. Pomagał mu w ich wykonaniu Mikołaj z Husi, burgrabia królewski w Husi i Prachaticach, który łącznie z Žyžką dwór królewski był opuścił.

Wkrótce ze swemi hufcami wykonał pierwszą próbę. Królowa Zofia w Pradze ściągnęła na siebie niechęć swych poddanych. Žyžka stanął na czele niezadowolonych. Wypędziwszy garnizon, wziął Wyszehrad 25 października i na zamku osadził swoich ludzi. Gdy zaś wkrótce potem zastępy husyckich pielgrzymów zostały przez królewskich napadnięte w Kninie (4 listopada), Praga nanowo się wzburzyła, a Žyžka opanował jej część zwaną *Matą Stronę*. Zofia w nocy schroniła się do kundrackiego zamku, gdzie Wincenty z Wartenberga, wzmoćniwszy się znamieniem, wymógł przymierze, które aż do św. Jerzego trwać miało (23 kwietnia 1420). Królowa i panowie zobowiązali się bronić swobody nabożeństwa, szczególnież co do przyjmowania Najświętszego Sakramentu pod dwiema postaciami w całych Czechach, Pragę zaś przyrzekli oszczędzać wszystkie kościoły, klasztory i obrazy świętych, a Wyszehrad do rąk królewskich powrócić; to wszystko obustronnie pod karą 50 tysięcy kóp groszy prażskich.

Nadzieja Žyžki uczynienia Pragi środkiem swych działań została przez to zniweczona. Zwrócił się więc, po zawarciu przymierza wbrew jego woli, ze swemi towarzyszami do miasta Pilzna, pragnąc tam dopiąć tego, co mu się w Pradze nie udało. W Pilźnie połą-



JAN ŽYŽKA Z KALICHU. (Rysował Tegazo, ze starego miedziorytu).

wa: „Wierni prażscy mieszczanie nie omieszkali uzbrojeni stawić się do usług waszej królewskiej mości. Racz im tylko królu polecić i wskazać nieprzyjaciela, przeciw którym do boju iść mają. Wszyscy są gotowi po-

czył całe swe wojsko, wypędził z niego wszystkich

1) Tak nazywano tych, którzy przyjmowali komunię św. w dwóch postaciach.

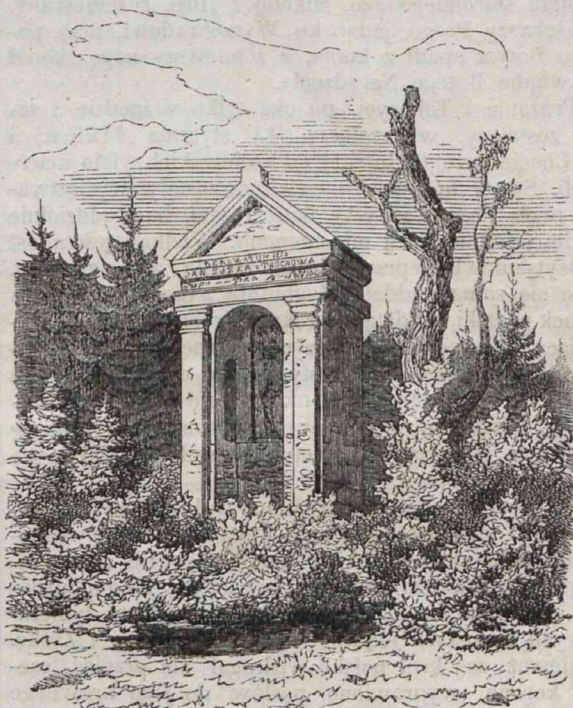
katolików i Niemców i ufortyfikował to miasto. Przyjaciół Żyżki Mikłaj z Husi zajął w pobliżu Zieloną górę. (1420). Panowie pilzeńskim rozpoczęli wtedy przeciw obywatelom walkę. Zastępy husyckie około Zielonej góry, po wielkiej krwi przelewie, zostały rozpedzone; zdobycie jednak Pilzna wymagało regularnego oblężenia, do którego też królewscy przystąpili.

Tymczasem gdzieś indziej znajdowało się niezdołane miejsce obronne, którego Żyżka aż dotąd szukał na próżno: miasteczko Hradiszcze nad rzeką Łużnicą na wysokim wzgórzu leżące, otoczone głębokimi parowami i wodami, jakby jaki półwysep, złączone z lądem wąską tylko drożyną, ledwie na kilka kroków szeroką. Husycy w czasie pobytu Żyżki w Pilźnie miejsce to opanowawszy, zaraz o tem wodza zawiadomili. Żyżka posłał im niebawem hufiec zdolnych żołnierzy do obrony. Posiadając już tak warowne miejsce, które nazwał Tabor, (teraźniejsze miasto powiatowe tegoż nazwiska w środku Czech południowych), zawarł z królewskimi przymierze (20 marca), pod warunkiem, aby Pilznowi zostawiona była wolność kielicha, jemu zaś i tym co z nim poszli, swobodne przejście do Taboru. W drodze napadło go około tysiąca jeźdźców wybornie uzbrojonych. Żyżka miał najwięcej 400 ludzi, wozów 12 i 9 koni, a jednak w bitwie pod Sudomierzem sztuką wojenną odniósł zwycięstwo i szczęśliwie przybył do Taboru.

Od tej chwili Tabor był sercem husytyzmu. Tu się z całego kraju lud zbierał, tu Żyżka zaprowadził porządek wojskowy i ćwiczył swoich w sztuce wojowania.

Zapaliła się już wtedy powszechna wojna przeciw Czechom, jako kacerzom i odszczepieńcom, z rozkazu papieża Marcina V, który we wszystkich ziemiach chrześcijańskich, bullą d. 4 marca 1420 we Florencji wydaną, przeciw Czechom wojnę krzyżową zapowiedział. Król zaś Zygmunt, udawszy się z Berna do Szląska 17 marca, kazał we Wrocławiu publicznie także

krucyatę przeciw Czechom ogłosić. Na jego rozkaz podnieśli się wszyscy elektorowie i książęta niemieccy, zbierając lud chcący w pochodzie na Czechy do-



Kapliczka stojąca w miejscu gdzie się Żyżka urodził.

stąpić odpustów. Przeciw takiemu rozkazowi króla oburzyły się gminy prażskie. Sam Wincenty z Wartenberga i Oldrych z Rosenberga uczynili w imieniu panów wezwanie do wszystkich stanów, aby Zygmunt-

ta, jako nieprzyjaciela narodu czeskiego, za króla nie uznawali. Trwoga opanowała Niemców: uciekli z Prażi pod obronę przeciwników kielicha i do wojska Zygmunta, ufając że za jego pomocą odzyskają dawną przewagę. Zygmunt z wojskiem węgierskim ruszył przez Kralow-Hradec do Kutnej-Hory, gdzie panowie katolicy z nim się złączyli. Zład zamierzał na Prażę uderzyć i całemu ruchowi koniec położyć. Panowie przyjmujący komunię pod obu postaciami, chleba i wina, pod wrażeniem obawy wkrótce przerzucili się na jego stronę. Sam Wincenty z Wartenberga dopuścił się zdrady: wszedł z królem w tajemną zmwę i wydał mu zamek prażski. Z nim razem wyrzekł się husytyzmu i Oldrych z Rosenberga. Husycy, opuszczeni przez szlachtę, upadli nieco na duchu. Po próżnym usiłowaniu zdobycia zamku prażskiego i Wyszehradu, chcieli iść drogą pokoju. Wysłali deputacyą do Kutnej-Hory, w celu zawarcia układów z Zygmuntem; ale ten nie chciał przystąpić z nimi do żadnej umowy, póki by Prażę broni nie złożyła.

Teraz zapal się ożywił. Każdy chwycił za broń i biegł do boju na śmierć. Rozesłano posłów do miast, wzywając prawych Czechów na pomoc. Ze wszech stron ciągnęły liczne hufce do Prażi. I Żyżka pośpieszył z Taboru aż w 9000 żołnierzy, oprócz księży, kobiet i dzieci. W drodze chcieli ich królewscy zatrzymać w Beneszowie, a potem w Porzyczu nad Sazawą; lecz Żyżka, poraziwszy ich, szczęśliwie przybył do Prażi (20 maja), gdzie go przyjęto z processyą, muzyką i śpiewami. Wszyscy się zobowiązali poświęcić życie za cztery artykuły zwane prażskimi: 1) aby słowo Boże było swobodnie głoszone przez księży zdolnych; 2) aby Sakrament pokuty wszystkim wyznawcom Chrystusa udzielany był pod dwiema postaciami; 3) aby księża, zaniechawszy świeckiego panowania i trzymania dóbr, żyli wedle przykładu Chrystusa i jego apostołów; 4) aby wszystkie grzechy śmiertelne i zdrożności przeciwne prawu Bożemu były karane.



CZERWINSK NAD WISŁĄ. (Rysował z natury i rytował Fabjański.)

Takiego oporu Zygmunta się nie spodziewał; zaniechawszy więc zamiaru uderzenia na Pragę, zwiódł kilka miast i zamków, oglądając w nich załogi i skarby.

Dnia 30 czerwca przyjechał Zygmunt do Pragi. Wojsko krzyżackie, jedno z największych i najsilniejszych jakie kiedy w chrześcijaństwie istniało, poczęło tegoż dnia miasto oblegać. Liczba jego wynosiła 150,000 ludzi. Fryderyk margrabia brandenburski, margrabiowie z Misni, wojewoda rakuski, książęta bawarscy, szlasy i inni stali na ich czele. Ogólny napad na miasto nastąpić miał d. 14 lipca. Królewscy zamierzali z zamku prażskiego uderzyć na Małą Stronę, załogą wyszehradzką na Nowe miasto, a inne wojsko przez Szpitalne pole na Stare miasto. Miśnianie postanowili opanować górę *Witków*. Na tę to górę stanął Żyżka z częścią swojego wojska. Było to przejście ważne, bo tylko przez tę górę Praga z dalszym łączyła się krajem. Zygmunt też kazał najprzód Miśnian pędzić na Witków, aby potem ze wszystkich stron na Pragę mógł ugodzić. Żyżka jednak z bohaterскими Taborytami Miśnian odpędził. W téjże samej chwili uczynili Prażanie wycieczkę z miasta, wzmacniając słabnące siły Żyżkowego wojska, i wkrótce nieprzyjaciół zupełnie porazili. W dwa dni potem wojsko krzyżackie zwinęło obóz, opuszczając Czechy. Odtąd górę *Witków* poczęto nazywać *Żyżkowym* albo *Kalichem* (kielichem), a Żyżka sam po zwycięstwie na Witkowie podpisywał się: Jan Żyżka z Kalichu.

Zawiedziony Zygmunt w nadziei, że zdobyciem Prażi kacerskie plemię odrazu wygubi, nie chciał opuścić zamku prażskiego, dopóki by przez koronację nie nabył prawa w oczach świata do czeskiego tronu. W dzień więc 28 lipca, w przytomności książąt, prałatów i czeskich panów-katolików, w kościele św. Wita arcybiskup Konrad koronował go królem czeskim. Opuściwszy Pragę 24 sierpnia, ciągnął Zygmunt przez Kolín do Kutnej-Hory, starając się o uspokojenie powiatów i o zgromadzenie wojska w Węgrzech i w Morawie do nowej walki.

Hussyci, pozbywszy się z Prażi Niemców, którzy w czasie boju łączyli się z nieprzyjaciółmi Żyżki, i zabrawszy ich majątki, urzędy królewskie i załogi znieśli, starając się oswojzić tym sposobem kraj cały. Pragnąc zaś utrzymać się w jedności i sile, pomysłili o wyborze nowego króla. Za zezwoleniem Żyżki, wysłano posłów do Władysława Jagiełły, oddając mu czeską koronę, pod warunkiem przyjęcia 4ch prażskich artykułów i bronięcia Czechów od nieprzyjaciół. W Niepołomicach Władysław dał im odpowiedź obojętną, przez co układy z Polską spelzły na niczym.

Prażskie gminy, wzmocniwszy tabory, oblegli Wyszehrad i tak go naciskały, że załoga, nie chcąc z głodu umierać, musiała zawrzeć zawieszenie broni, z warunkiem że podda się, jeśli jęj Zygmunt do 4 listopada nie da odsieczy. Zygmunt rzeczywiście tegoż dnia z licznym wojskiem, po największej części z Węgrów i Morawian złożonem, przybył aż pod Wyszehrad; lecz porażony, stracił około 500 osób ze szlachty czeskiej i morawskiej. Wtedy załoga wyszehradzka oddała słynny ten zamek Prażanom, a Zygmunt schronił się do Kutnej-Hory.

Żyżka sam nie miał udziału w walce wyszehradzkiej; po bitwie bowiem witkowskiej udał się do południowych Czech, niszcząc majątki Oldrycha rosenbergskiego z taką zapalczywością, że zmusił go na nowo oświadczyć się za Hussytami, których się był wprzódy wyparł. Opuściwszy 22 sierpnia 1420 r. Pragę, Żyżka ciągnął przez Pisek na Wodniane, Prochacice, Łomnice, Bystrzycę, Świnie, Przybenice i Sobiesław. Wszystkie te miejsca zdobył z wielkim krwio przelewem, puszczając wodze fanatyzmowi swych stronników.

Podczas gwałtownych tych działań Żyżki w południowych Czechach, Praga zdobyła sobie pierwszeństwo w narodzie, które aż dotąd Żyżka ze swemi taborytami posiadał. Ta to okoliczność wznieciła między Prażanami i Taborytami pewnego rodzaju rozdrażnienie, które wkrótce zmieniło się w jawny spór, tak iż prażscy radcy wydali polecenie, aby na przyszłość nikt w mieście nie śmiał szerzyć żadnych nowości religijnych, jeśli dowieść ich nie zdoła pismem świętym, do czego wyznaczono czterech mistrzów prażskiego uniwersytetu (14 listopada). Było to głównie skierowane przeciwko Taborytom, którzy już 5 sierpnia 12 artykułów podali Prażanom, nalegając szczególnie o przeprowadzenie 4 i 5 artykułu. Gdy zaś Prażanie 19 listopada i radcy Taborytom przychylnych usunęli, a na ich miejsca spokojnych kielichowców wprowadzili, Taboryci wezwali Żyżkę, który tymczasem Rzyżczany zdobywał. Skoro po wzięciu Rzyżczan Żyżka 10 grudnia przybył do Prażi, mistrzowie i książę taborscy zaczęli zgromadzać publiczne zebrania, na których sam Żyżka z hetmanami taborskimi był obecny. Tu to zarzucano Taborytom

72 artykuły, z których wiele pochodziło od Pikardów, Adamitów i innych sekt z drogi rozumnej do bluźnierstwa przeszłych. Sprzeczano się bardzo długo. Wreszcie stanęło na tém, że obie strony w ciągu miesiąca spory swoje podać mają na piśmie do rąk burmistrza staromiejskiego. Mikołaj z Husi, rozgniewany, opuściwszy Pragę, jadąc ku Wyszehradowi, przy potoku Botycz spadł z konia, a złamawszy nogę, skończył w wigilią Bożego Narodzenia.

Prażanie i Taboryci, na oko tylko w zgodzie z sobą stojący, w Przeczycy (14 stycznia 1421 r.) i w Chocieborzu (3 lutego) od królewskich wiele ucierpieli. Straty te jednak nagrodzone zostały zwycięstwami przez Prażan i Żyżkę bądź razem, bądź oddzielnie w innych miejscach odnoszonymi. Wielka część miast hussytomowi nieprzychylnych została albo zdobyta, albo się sama poddała. Zygmunta z Czech wyparto, a zamek prażski, aż dotąd w rękach królewskiej załogi stojący, i nieugięte Litomierzycy zagarnęli Hussyci. Zdobywanie to trwał od 25 stycznia aż do 29 maja. Sam Wincenty z Wartenberga ukorzył się przed Prażanami w Jaromirzu; Bogusław ze Szwanberga stał się gorliwym Hussytą, a nawet i Konrad arcybiskup do nich się przyłączył.

Po tych zwycięstwach zwołano walny sejm do Czesławia (7 czerwca 1421), na którym Prażanie, Taboryci i panowie wszystkich stanów zgodzili się na utrzymanie czterech prażskich artykułów i na nieuznanie Zygmunta królem. Wybrano dwudziestu tymczasowych ziemskich radców, a między nimi i Żyżkę. Ponieważ zaś król polski wzdragał się przyjąć czeską koronę, wyprawiono posłów do jego krewnego Witolda w. księcia litewskiego, i dla całego duchowieństwa czeskiego na oddzielnym kongresie miano postanowić przepisy, co przeciw do skutku nie przyszło. Dalej wybrano czterech radców z duchowieństwa do pomocy arcybiskupa, między którymi Jana z Żeliwa. Nareszcie w myśl 4ch artykułów prażskich zostały uregulowane sprawy kościoła. Na te postanowienia kościelne zgodzili się tylko książę prażski, Taboryci bowiem i tu się odłączyli, nie przestając nowych stawiać zaawad. I tak Marceinek *Houska* uczył po pikardsku, że w Najświętszym Sakramencie chleb i wino są tylko oznaką ciała i krwi Chrystusowej. Żyżka ścigał stronników Houskowych, pobił ich w Kłokotach blisko miasta Taboru, a Houskę kazał w beczkę włożyć i spalić. Po śmierci Houski powstał z jego stronników tak zwani Adamici, którzy na podstawach panteistycznych komunizm szerzyli, spełniając zwierzęce sprosności. Adamici usadowili się na jednej wyspie rzeki Łużnicy, blisko miasteczka Weseli, dopuszczając się w okolicy rabunku i morderstw. Żyżka na nich uderzył, a pojmanych spalił. Zdobywając potem zamek Rabę w prachenskim obwodzie, Żyżka został tak nieszczęśliwie postrzelony, że mu w zdrowym oku nabój uwiązł. Chociaż prażscy lekarze naboż ten szczęśliwie wydobyli, wszelako i na drugie zaniewidział oko. Zupełna ślepotą bynajmniej jednak nie przeszkadzała mu w dalszem dowództwie, kazał się bowiem ciągnąć pośród wojska na wozie.

Tymczasem Zygmunt przedsięwziął nową walkę krzyżową. Do Czech przez niasto Cheb ku Żatcowi szło 200,000 ludzi, a na ich czele arcybiskupi kolński, moguncki, tryestki i wielu innych biskupów i książąt rzymskich. Wówczas wojsko czeskie stało pod miastem *Stonem*, nie chcąc się od Prażi oddalić, ponieważ Zygmunt jednocześnie z Węgrów do Czech przez Morawę pomoc Krzyżakom nadesłać obiecał. Żyżka, usłyszawszy że Zygmunt z wojewodą rakuskim jeszcze mieszka w Preszburgu, udał się prędko ku miastu Żatcowi, czem taki postrach rzucił na Niemców, że ci, zapalivszy swoje namioty, uciekli (2 października 1421).

Po rozpedzeniu w Żatcu niemieckich krzyżaków, przybył Zygmunt z Węgrów do Morawy. W Bernie zwołał sejm morawski (17 listopada 1421), na którym wydawszy przeciw mocarstwu ostre rozkazy, ciągnął ze swym wojskiem do Czech przez miasto Ihlawę. Panowie morawscy, przerażeni, poddali się królowi, a śladem ich poszli i czescy, szczególnie Wincenty z Wartenberga i Oldrych z Rosenberga, złączyszy się w Ihlawie z królem. Prażan słuszną to przejęło obawą o naród i ojczyznę. Zygmunt miał liczne, dobrze uzbrojone i wyćwiczone wojsko, którym dowodził *Pipa*, doświadczony i uczony rycerz. Posłano więc po Żyżkę. W Pradze ślepego wodza przywitano po królewsku. Uderzono we wszystkie dzwony i całe obywatelstwo wprowadziło go do miasta, a na czele szli książę-taboryci, niosąc św. Sakrament (1 grudnia 1421). Po upływie tygodnia Żyżka ze swym wojskiem udał się do Kutnej-Hory, gdzie stoczył bitwę, w której sztuka wojowania ślepego wodza zajaśniała w całym blasku. Wziął Kutną-Horę, a lubo zdradzony przez górników, którzy wielu Ta-

borystów zabiwszy i pojmwawszy, miasto w ręce Zygmunta oddali, szczęśliwie przebił się do Kolína (22 grudnia).

Zygmunt zajął Kutną-Horę, mniemając że Żyżka już pokonany; ale ten, wzmocniwszy się, uderzył z nienacką na przerażonego króla (1422 r. 6 stycznia) tak silnie, że Pipa z wojskiem swym uciekł. Teraz pod miasteczkiem Habrem Pipa przygotował się do walki, lecz po pierwszym napadzie znowu ustąpił z królem aż do Niemieckiego Brodu, miasta oszańcowanego i królowi przychylnego. Żyżka wpadł do Brodu i wojsko królewskie pobił na głowę, króla zaś gonił aż do granic Morawy.

W czasie odnoszenia przez wojsko czeskie tylu zwycięstw przeciwko Zygmunutowi, rządził Pragę książę Jan z Żeliwa, wyżej już wspomniany. Sprzyjając taborskiej religii, stał się ulubieńcem prażskiego proletaryatu (holoty). Po porażce królewskiego wojska u Niemieckiego Brodu, mieszczaństwo prażskie prosiło stronników komunii pod obu postaciami, aby go od dowolnych rządów mnicha Jana bronili. Dla rozpoznania sporów wybrano w Pradze oddzielnych sędziów, a na ich czele Żyżkę. Przedsięwzięto także nowy wybór konsulów (radców). Wybór wypadł przeciw Janowi, który jednakże mimo to wszystko nie przestał miasta terroryzować. Konsulowie wreszcie gwałtem uwolnili się od niego. Zaprosivszy go na ratusz pod pozorem narady, ścięli go tam potajemnie, wraz z najgorliwszymi jego stronnikami (9 marca 1422). Lud krwawo zato zemścił się nad starszą. Zaraz nazajutrz wybrano innych konsulów ze stronnictwa Żyżkowego, między nimi Szrola i Charwatą, pięciu dawnych konsulów ścięto (14 marca), ludzi zaś nieprzyjanych zamordowanemu Janowi wypędzono (15 marca). W liczbie ich znajdował się sławny później mistrz *Rokiczana*.

Taboryci byli w Pradze górą, a naczelnictwo kraju przeszło na Żyżkę. Prażanie całą nadzieję pokładali w pomocy Aleksandra Witolda wielkiego księcia litewskiego, „pożadanego króla czeskiego.“ Witold też wysłał do Czech Zygmunta Korybuta, synową Władysława króla polskiego, a syna Dymitra Korybuta r. 1399 zmarłego, aby się w jego imieniu rządcą kraju ogłosił i bronił go od wszelkich nieprzyjaciół. Korybut, zebrawszy w Krakowie 5000 Polaków, którzy z Czechami pragnęli pod jednym rządem zostać, udał się do Morawy, z której cesarz Zygmunt do Węgier uszedł. Przybywszy Korybut do Czech, na sejmie czesławskim uznany został rządcą narodu czeskiego i zobowiązał się bronić zakonu Bożego, a szczególnie czterech prażskich artykułów. Żyżka, uznając go, jeszcze bardziej podniósł jego sprawę. Za wpływem Korybuta nastąpiła zgoda między stronami, obrano nowych konsulów, (Szrol i Charwat sami urzędy złożyli), a wypędzeni mistrzowie do Prażi wrócili (28 maja).

Korybut z Prażanami i Polakami wziął się do oblężenia Karlowego Tynu (Karlstain), zostającego dotąd w rękach załogi cesarskiej. Tymczasem między Taborytami a Prażanami zaszła krwawa utarczka. Nowy rządcą musiał od oblężenia Karlowego Tynu odstąpić, a przybywszy do Prażi, ukarał krwawo taborskich naczelników. Stronnictwo arystokratyczne w Pradze poczęło znowu rosnąć w siłę, lecz nie nadługo. Za współdziałaniem prałatów i książąt polskich, usiłujących zgnieść wzmagający się w Polsce hussytizm, udało się nareszcie cesarzowi Zygmunutowi wymódz, że Witold rzekł się czeskiej korony, a Zygmunt Korybut przez stryja swego został do domu powołany. Z boleścią serca (24 grudnia) opuścił naród, który go przyjął z takim zaufaniem, przyrzekając iż kiedyś wróci, czego istotnie później dokonał.

Po odejściu Korybuta, nastaly smutne czasy w Czechach. Cały kraj podzielił się na dwa walczące obozy. Strona prażska była liczebnie silniejszą, Taboryci zaś więcej wyćwiczeni przez Żyżkę w sztuce wojennej. Cesarz Zygmunt starał się korzystać z tych sporów, aby Hussytów pokonać. Zamierzył na początku r. 1423 prowadzić nową wojnę przeciw Czechom, w której i Polacy z Litwinami udział przyjąć mieli, do czego jednak nie przyszło. Nie pragniono już walki z Czechami, a szczególnie opierali się jęj Polacy, poznawszy swych pobratymców z opowiadań tych rodaków, którzy z Korybutem do Polski wrócili. Było to wielkie szczęście dla kraju czeskiego; wojna albowiem między Taborytami a Prażanami rzeczywiście wybuchła. Żyżka udał się w powiat hradecki i bydowski, pobił w Horzyczach 20 kwietnia 1423 r. Wincentego z Wartenberga i ciągnął do Litomierzyc. Prażanie zaś, wkroczywszy w powiat taborski, oblegali zamek Kržiżeniec. Starano się potem jeszcze o zgodę w zamku Konopiszczce (24 czerwca); lecz zawarte przymierze wkrótce się rozerwało.

Żyżka znowu ciągnął do miasta Kralowe-Hradcu, gdzie poraziwszy Diwisza Bożka z Prażanami (4 sierpnia), wrócił do miasta Czaslawi. Z Czaslawi, którą Prażanie naprzód oblegali, wpadł do Morawy, a ztąd do Węgier aż ku Tarnawie. Węgrzy mu w pochodzie nie przeszkadzali, wabiąc go w głąb kraju, by go tym łatwiej porazić. Żyżka jednak na czas się cofnął. Szóstodniowy odwrót jego do Morawy, jest arcydzielną wojenną taktyką. Opis jego posiadamy od naocznego świadka. (Porównaj: „Žizkovo tažení v alech do Uher, 1423.“ Ve vyboru z literatury české, díl II, část 1a, svazek I, strana 263—270).

Podczas boju Żyżki za granicą, strona prażska uśilowała się wzmocnić. Ogłosiła walny sejm na dzień 16 października 1423 r., na którym ścisłej zawarto związek. Żyżka, wróciwszy z Węgier i Morawy, rozpoczął ostatni krwawy rok swego życia. Uderzył najprzód na Jana Opoczyńskiego, Putę Czerwonogórskiego i Arnosta z Czernczyc, których pod Skalica za miastem Jaromirzem pobili. Potem wiele miast i wsi spalił, zdobył miasto Hostinne i zniszczył miasteczka Mlázowice i Smidary. Pod Kostelcem nad rzeką Łabą otoczyli go wreszcie Prażanie w związku z panami, w których ręce niechybnie byłby popadł, gdyby przyjaciele jego Wiktor i Hynek (Ignacy) bracia z Podiebradu nie byli go wybawili. Ocalony, ciągnął przedko aż do Maleszowy niedaleko Kutnej-Hory, w miejsce bardzo do walki odpowiednie, gdzie na ścigających go Prażan oczekiwał. Skoro go dogonili, zmieszał ich szeregi, wpiérw nim się wszyscy do boju uszykowali, spuszczać na nich z góry na której się znajdował wozy napełnione ciężkimi kamieniami, a potem, przy nieustannym ogniu działowym, z całą siłą na nich uderzył (7 czerwca 1424). Była to jedna z najkrwawszych bitew, padło w niej bowiem 1400 ludzi.

Po zwycięstwie w Maleszowy, Żyżka zdobył Kutną-Horę. Miasta Kourzym, Czeski Bród i Nymburg już mu się same poddały. W Pilźnieńskim gorzej mu się powiodło; ustąpić bowiem musiał do miasta Žatec, ztąd wzmocniwszy się, pociągnął na Pragę, groząc że w niej kamień na kamieniu nie zostanie.

Tymczasem Zygmunt Korybut, bez względu na gniew swoich stryjów, z 500 Polakami przybył do Pragi. Prażanie serdecznie go przywitawszy, złożyli w jego ręce sprawy polityczne. Wtedy Żyżka z potężną siłą rozłożył się pod zamkiem Libniem. Prażanie wystali do niego posłów, prosząc w imieniu Korybuta i konsulów o pokój. Między posłami mistrz Jan Rokiczana tak silnie odwoływał się do uczucia patriotyzmu Żyżki, że nareszcie ten czeski Koryolan skłonił się do pokoju i od Pragi ku Morawie ustąpił (14 września 1424). W drodze obległ zamek Przybysław, blisko Niemieckiego Brodu; tu jednak na polu niedaleko zamku zachorował śmiertelnie i umarł w dni kilka (14 października 1424 r.).

Lud po nim nazwał się sierotą, jakby mu umarł ojciec. Po zdobyciu zamku Przybysławia, księza Prokopa i Ambrożego ciało Żyżki odprowadzili aż do Hradca i pochowali je w wielkim oltarzu, w kościele św. Ducha. Później, niewiedomo kiedy i dla jakich powodów, przewieziono je do miasta Czaslawi i pochowano w farnym kościele św. Piotra i Pawła. Grób jego był kamienny; na wierzchu wykuty wizerunek jego w całej zbroi, z hełmem otwartym na głowie. W ręce prawej trzymał palcat, a po stronie lewej miecz i herb: kielich. Z przeciwniej strony u nogi prawej był drugi kielich, naokoło którego znajdował się napis: „Anno 1424, die Jovis ante festum Galli vita functus Johannes Žizka a Kalice, Rector Rerum publicarum laborantium in nomine et pronomine Dei, Hoc templo conditus est.“

Pole na którym zmarł Żyżka, zakupił w tych czasach Dr Juliusz Greger, znany redaktor politycznej gazety *Narodni Listy*, i darował je towarzystwu gimnastycznemu *Sokol*. Towarzystwo zamierza wznieść na nim wielką mogiłę, z kamieni zebranych z pół na jakich Żyżka zwyciężył. Na glazach tych mają być przedstawione pojedyncze Żyżkowe bitwy, a wśród nich napis na jednej wielkiej skale z łomów prażskich: *Bratru Janu z Trocnowa, bratři Sokolove*.

Z czeskiego przełożył J. F. N.

CZERWIŃSK.

Podróżujący parostatkiem z Płocka do Warszawy, zdala na prawym brzegu Wisły spostrzega dwie wyniosłe wieże, polyskujące złocistymi szczytami. Są to wieże dawnego kościoła i klasztoru niegdyś zamownego opactwa kanoników regularnych laterańskich w Czerwińsku.

Ubiegło to dziś miasteczko, leży nad Wisłą w doli-

nie, otoczonej od wschodu i północy wzgórzami. Według miejscowego podania nazwę swą miało otrzymać od zamku dachówką czerwoną pokrytego, który przed wieki wznosił się tutaj na górze. Starożytna ta bowiem osada początkiem swoim sięga bardzo odległych czasów i mamy już w historii o niej wzmiankę pod rokiem 1060, kiedy Aleksander biskup płocki sprowadził tu z Francji zakonników reguły św. Augustyna, zwanych kanonikami laterańskimi, ufundowawszy dla nich mały klaszorek, na którego miejscu w r. 1117 sławny Piotr Dunin hrabia na Skrzynnie, wielkorządcza tej prowincji, a osobisty panującego wówczas monarchy Bolesława Krzywoustego przyjaciel, wystawił wspaniałą kościół z klasztorem, dotąd istniejący.

Królowie polscy Bolesław Kędzierzawy i Kaźmirz Sprawiedliwy, a następnie książęta mazowieccy, szczególnie Konrad I, hojnie klasztor czerwiński uposażyli; zakonnicy albowiem tutejsi, mający za główny cel wspieranie biskupów w pracach duchownych, rozkrzewianie ewangelii, oraz kształcenie młodzieży w naukach i wszelkich umiejętnościach, pierwotnie prawie wszyscy cudzoziemcy, umieli pozyskać wpływ u książąt i ówczesnych możnowładców krajowych. Często oni przebywali na dworze księcia Konrada I, świadczącemu im wiele dobrodziejstw; toż samo czynili synowie jego, Bolesław i Ziemowit I. Klasztor więc przyszedł do znacznego majątku, wzrastając z latami w coraz większą zamożność, zwłaszcza za panowania Konrada II księcia czerskiego, który wielu nowymi włóściami obdarzył zakonników czerwińskich, w kościele tutejszym pochowany został. W r. 1422 książę Janusz warszawski, przywilejem wydanym w Wyszogrodzie, uwolnił wszystkie posiadłości klasztorne i miasto Czerwińsk z pod prawa polskiego i nadał mu prawo chełmińskie. Słowem każdy z książąt krajowych, a następnie królów polskich, przyczyniał się rozmaitemi nadaniami do pomyślności opactwa, równie jak miasta, które w ten sposób wzrastało w ludność i zamożność, chociaż aż do ostatnich czasów Rzeczypospolitej połowa tylko jego należała do opactwa, druga zaś do biskupstwa płockiego.

W r. 1796, po zajęciu kraju przez Prusy, odebrano część należącą do klasztoru i wyznaczono kompetencją pieniężną; reszta, po inkameracji dóbr biskupich, przeszła do rządu, i dziś miasteczko w całości jest skarbowe. Czerwińsk liczy teraz zaledwie 68 domów, zamieszkałych przez ludność składającą się z 807 głów, po większej części rolnictwem zajmującą się.

Do wspomnień historycznych przywiązanych do tego miasteczka należy, iż król Władysław Jagiello, idąc na wojnę przeciw Krzyżakom w r. 1410, błagał w tutejszej świątyni o szczęśliwe powodzenie, poczem przeprowadził wojsko po moście na łyżwach. Po odniesionym zwycięstwie pod Grunwaldem, hełm swój i srebrne votum na oltarzu złożył. Powtórnie udając się król w r. 1419 przeciw tymże Krzyżakom, połączył się tu z wielkim księciem Witoldem, chociaż wyprawa nie przysłała do skutku. Obaj ci władcy znowu w r. 1422 stali obozem pod Czerwińskiem w miesiącu lipcu. Jagiello tu odbywał sejm w polu, zatwierdził wszystkie prawa i nadania koronne, a nadto i ze swjej strony niektóre przydał. Gdy statut wiślicki nadwierzany był w mnożeniem i odmienianiem artykułów, wydał Jagiello na jeździe w Czerwińsku w r. 1430 przywilej stanowi szlacheckiemu, uroczyscie zapewniając całość statutu. Władysław i Bolesław książęta mazowieccy, zjechaawszy tutaj w r. 1452, wraz z wielu znakomitemi panami w kościele klasztornym zebrani, starali się dopełnić nowymi prawami statut księcia Janusza I. Również i królowie polscy niejednokrotnie zwiadzali Czerwińsk. Zygmunt III, płynąc Wisłą do Szwecji r. 1593, wstąpił tu dla oddania opactwa kardynałowi Jędrzejowi Batoremu. Król Władysław IV, często zapadający na zdrowiu, szukał polepszenia jego w modłach przed obrazem N. Panny w czerwińskim kościele, a w dowód wdzięczności za doznane łaski, votum srebrne dotąd istniejące zawiesił przy jej obrazie. Nakoniec Jan Kaźmirz, starając się o koronę, kilkakrotnie miejsce to nawidzał r. 1648, oddając losy elekcyi i życia swego opiece cudownej Matki Boskiej. Po koronacji zaś wraz z małżonką swoją Maryą Ludwiką dwa razy dziękczynne Bogarodzicy modły składał, a po bitwie pod Beresteczkiem 1649 r. zdobyte chorągwie zawiesił w kościele.

Teraz jedyną pozostałością dawnego stanu rzeczy i najgłośniejszą ozdobą miasta jest wspaniały, na górze wznoszący się kościół i gmachy klasztorne, których historia ściśle się z nim łączy. Kościół ten, lubo późniejszymi dodatkami dużo zmieniony, dochował przecież wewnątrz ogólne piętno budownictwa XII wieku. Jakoż dwie wyniosłe jego wieże całkowicie, a mury do połowy, z ciosowego granitu wystawio-

ne, oraz małe zaokrąglone *sanctuarium* w tyle części kaplańskiej, nadają mu charakter bardzo poważny i przypominają inne świątynie fundacyi Piotra Dunina.

Nie cała atoli jego budowa nosi na sobie cechę tak odległego wieku; owszem widać w niej ślady trzech epok, w których stały się części pojedyncze składające go dzisiaj murów. Najdawniejsze a zarazem najzupełniejsze z tych części są wieże. Siegają one początkiem swoim czasu założenia czerwińskiego opactwa, a wystawione są z granitu dosyć grubo obciosanego; kamienie tylko w węglach układane, gładkie są i szczerzej do siebie przystają. Podłużne i wąskie w tych wieżach otwory, przy sobie parami stojące, dziś po większej części zamurwane cegłą, pierwotnie miały nieco odmienną postać, łączyły się bowiem z sobą na przodzie, a w głębi tylko rozdzielone były okrągłym kamiennym słupem, tak samo jak w Opatowie i tumie pod Łęczycą. Atoli jedna tylko para otworów takich kształt dochowała, wszystkie inne w późniejszych przerabianiach zmieniono. Nawy boczne, oraz dolna część murów *sanctuarium*, wzniesione z ciosanego granitu, współczesne są z wieżami i do początkowej fundacyi należą. Nie mają one żadnego szczególnego charakteru, gdyż są proste, bez okien, wnęk i innych budowniczych dodatków. Szczyty i górna część *sanctuarium*, z cegły na czerwono stawiane, pochodzą już z czasów panowania stylu gotyckiego, od XIV do końca XV wieku. Okna w tej części murów wycięte, zakończone są ostrołukiem, wnęki zaś jedne w ostrołuk, inne okrągło, inne nareszcie klinowato są zaaklepienie. Nawa środkowa, oraz przybudowany przy głównej ścianie szczytowy korytarz, tworzący zarazem rodzaj kruchty, są dziełem XVII wieku, a przynajmniej w tym czasie przedstawiane być musiały. Jakoż tablica napisowa wewnątrz kościoła umieszczona wskazuje, że Mikołaj Szyszkowski, w czasie zarządzania tutejszym opactwem, kościół ten starożytną i niezgrabną budową, ale trudną nader i ogromną pracą z ciosanego kamienia wzniesiony i już z powodu dawności zagrażający ruiną, w r. 1633 przestawił, nadając mu zarazem kształtniejszą powierzchowność. Ztąd i wewnątrz całej tej świątyni jest nowsze, ogół albowiem onęj urządzony był za téjże restauracyi i nader mało pozostało w nim szczegółów dawniejszego budownictwa. Nad całą środkową nawą sklepienie jest beczkowe, z lunetami ku oknom skierowanemi, a wszystkie gzymsowania przy arkadach w stylu klasycznym. Sklepienia nad bocznymi nawami są krzyżowe i splaszczone, odpowiadają więc pod tym względem stylowi budowniczemu XII wieku. Wszelako je raczej za dzieło XVII stulecia uważać należy, a przynajmniej wtedy znacznemu przerobieniu uległ musiały. Podobne sklepienie nad właściwą kruchtą kościelną z pewnością z tego pochodzi wieku. Ślady odnowienia tego gmachu w epoce stylu gotyckiego, pozostały tylko w sklepieniu nad wielkim oltarzem; ze szczegółów zaś pierwotnej onego wewnętrznej architektury, dochowały się jedynie dwie kolumny w kruchcie. Są one wysmukłe, w przecięciu okrągłe, kapitele na nich stosunkowo wielkie, czworogranne, ozdobione arabeskami na każdym kapitelu odmiennymi. W podstawie mają okrągły pierścień, z czterema na bokach występami. Kościół zbudowany z dwóch bocznych kaplic Pana Jezusa ukrzyżowanego i św. Augustyna. Oltarz liczy 9; z tych oparte na filarach wewnętrznych poświęcone są: 1szy św. Ubaldowi, 2gi św. Mikołajowi i św. Janowi Nepomucenowi, 3ci św. Izidorowi i św. Michałowi, 4ty św. Józefowi, 5ty św. Antoniemu i św. Norbertowi, 6ty św. Barbarze. Wszystkie te oltarze, równie jak stalla i inne przybory kościelne, pochodzą częścią z XVII, częścią nawet z XVIII wieku. Wielki oltarz w stylu odrodzenia, po bokach z figurami św. Wojciecha i Stanisława, nosi na sobie herb Szyszkowskiego Ostoję, oraz Półkozica. Obraz Matki Najświętszej, z dziećciem Jezus, trzymającym w jednej ręce berło, a w drugiej książkę, malowany jest przez Łukasza z Łowicza, artystę żyjącego w XVI wieku. Rysy twarzy Boga-Rodzicy są wyraziste, a pendzel gładki. Draperyi nie widać, bo ją srebrna sukienka zasłania.

Obraz ten od roku 1617 zasłynął cudami, które władza duchowna za rzeczywiście uznała, i od tego czasu kościół czerwiński licznie przez pobożnych był odwiedzany, a skarbiec w kosztowne wzrastał podarki. Samych srebrnych wotów znajduje się tu 133; z tych niektóre są nawet wytwornie wyrobione, z nazwiskami ofiarodawców lub wierszami.

Ze sprzętów kościelnych zwracają uwagę dwa pyszne lichtarze brązowe, koło wielkiego oltarza stojące i lampa srebrna pod tymże oltarzem zawieszona. W starożytnie nagrobki kościół ten nie obfituje. Leży tu wprawdzie ciało księcia Konrada II, zmarłego w r. 1294, lecz w którym miejscu, dotąd nie odkryto. Duże kamienne tablice, przed oltarzami w kaplicach zamie-

szczone, a groby opatów bez wątpienia wskazujące, z XVI mogą pochodzić wieki; lecz na jednych żadnego niema śladu dłuta, a na drugich trudny jest do rozeznania. Nagrobki, a raczej posmiertne napisowe tablice, są tylko opatów Jakuba Kuli, zmarłego w r. 1538, który pierwszą reperacją kościoła dokonał, i Jana Lewickiego, zmarłego w r. 1565, znakomitego z pobożności i nauki, któremu sprawił ten napis Szyszkowski, przy odnawianiu kościoła w XVII wieku. Zato wiele jest tutaj obrazów i portretów pozawieszanych na ścianach; są to pamiątki gorliwości opatów o pomnożenie świetności miejsca. Obrazy wielkie na płótnie, w presbiterium nad statuiami kanoników umieszczone, przedstawiające zdarzenia z życia N. Panny, są wcale niezłego pendzla. Ciekawsze jeszcze są okrągłe medaliony, z wyobrażeniami ewangelistów i doktorów kościoła, w wypukłorzeźbie na drzewie rżnięte. Dłuto w nich dobre, na pięknych wzorach XVI stulecia ukształcone; robotę sama może pochodzić z epoki restauracji kościoła przez opata Szyszkowskiego, tylko obramowania późniejszymi się zdają. Z portretów ważniejsze przedstawiają: Aleksandra biskupa płockiego, założyciela kanoników czerwińskich, Piotra Dunina, Bolesława Kędzierzawego, Henryka księcia sandomierskiego, Fakolda pierwszego tutejszego opata, Stanisława Hozyusza kardynała, króla Stanisława Leszczyńskiego, Augusta III, królową Józefę i t. p.

Przed frontem kościoła znajduje się plac murem dokoła obwiedziony, do odbywania processyj. Od strony miasta prowadzi do niego brama umieszczona z oddzielną wieżą, za dzwonicą zarazem służącą. Budowa tej wieży społeczna jest budowie ściany naczelną kościoła i z czasów gotyckiej architektury pochodzi. W niej pomiędzy innymi zawieszony jest wielki dzwon imieniem Rafał, przez Rafała opata w r. 1497 sprawiony, jak o tym napisy łacińskie na nim znajdujące się przekonywają. Zabudowania klasztorne z dwóch składają się części, z części właściwie klasztornej i z części zwaną zamkową, w której książęta mazowieccy mieszkali. Być nawet może iż tam stał zamek wprzód jeszcze, nim kanonicy do Czerwińska

wprowadzeni zostali. Obydwie przestawił zupełnie wyżej wspomniany opat Szyszkowski; w nich też z dawniejszej architektury nie pozostało. Nad bramami wewnętrznymi ukazuje się herb jego, a w innych miejscach godło zakonu: gorejące, strzałą prześzyte serce.

Zgromadzenie kanoników regularnych posiadało ów klasztor aż do swego supresji w r. 1819 nastąpionej, a ostatnim tutejszym opatem był ks. Stanisław Długolecki, przeorem zaś w kościele ks. Onufry Barciowski. W tymże roku oddany został kościół i klasz-

wała się mnie omijając, mimowolnie westchnąłem i lekki smutek, połączony z zazdrością, na chwilę mną ośwładnął. Rzeczywiście, gon zupełnie przeniósł się na lewą stronę i zbliżał się do linii strzelców: lada chwila strzały powinny były nastąpić. Lecz niespodzianie tu właśnie gończe dościgły niedzwiedzia; napastowany odwrócił się przodem, a psy leciały doń ciągle na oślep. Suwał się do nich z utulonymi uszami, i znów ustępował napowrót, mając się zawsze do odwrotu. W takiej pozycji cofnął się na kroków piętnaście tyłem z gęstwiny na młodego i niedoświadczonego my-

śliwego, który zmieszany i zdziwiony, nie wiedział co począć; a gdy ktoś z obok stojących zawołał: „strzelaj pan!“ niedzwiedź głos ten posłyszał i jak błyskawica rzucił się w las napowrót. I znów potężny gon zakipiał, z początku skierowany niby ku legowisku, a następnie po za linią w prawą stronę, prosiutienko na mnie. Odprowadziłem kurki, obejrzałem pistony, serce uderzało przyspieszonym tętnem; posłyszałem łamanie się lasu w kierunku wprost do mnie....

Wtem nagle z największej gęstwiny, jakby z procy wyrzucony, wyskakuje w wielkich susach przeslicznie odziany, silny i lekki niedzwiedź, najwięcej o kroków dwadzieścia odemnie. Składam się, prowadzę go kilka sekund na celu i wypalam z prawej rurki. Ryknął krótko i urywanie przytłumionym głosem, i nie zmieniając szybkości biegu, już mnie omijał; ale tuż w pogon za nim posłana kula z lewej rurki powala go na ziemię; podnosi się nagle na tylnych łapach, odwraca się wprost do swego zabójcy, głowa mu zwi-

(Ob. dod.)

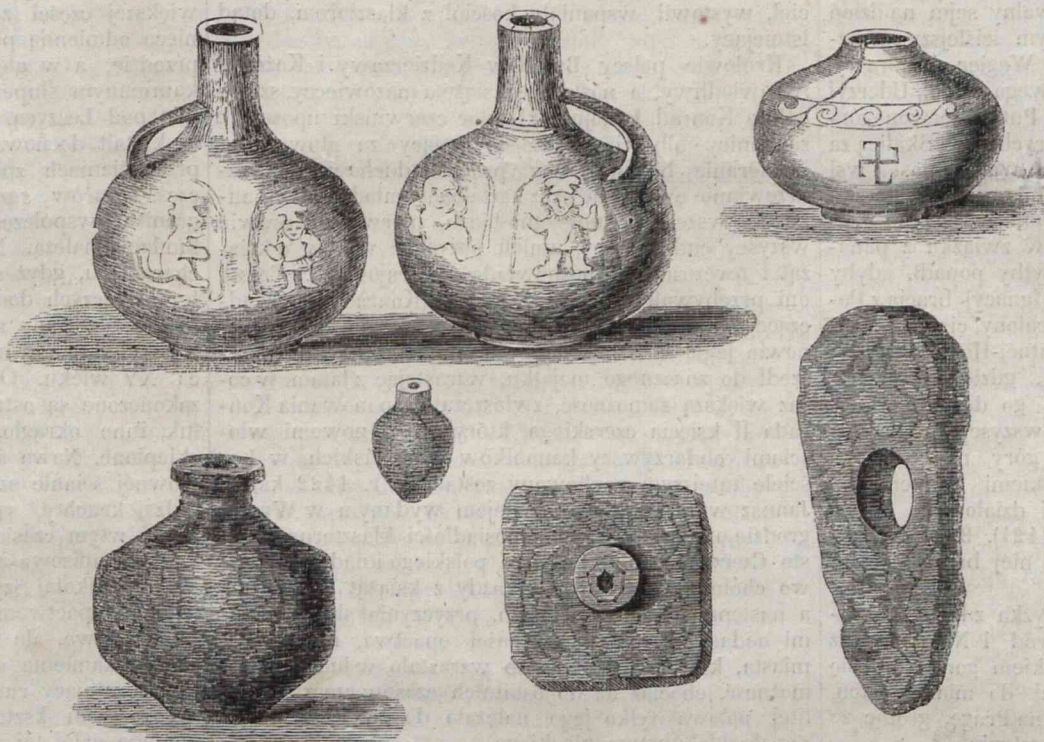
REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 180.

U człowieka lekkiego, jak wiatr wieje, tak też chorągiewka się obraca.

(Dodatek).



STAROŻYTNOŚCI SŁOWIAŃSKIE. (Rysował z natury Ferdynand Dienheim Chotomski).

tor pannon Norbertankom z Płocka sprowadzonym, które dotąd w nim mieszkają, trudniąc się wychowaniem dzieci płci żeńskiej.

Taki koniec miało, po siedmiu wiekach istnienia, w Czerwińsku zgromadzenie najliczniejsze i najzamożniejsze w kraju i bogate opactwo, o którego posiadanie synowie królewscy i pierwsi biskupi w Polsce się ubiegali.

STAROŻYTNOŚCI SŁOWIAŃSKIE.

W szacownym zbiorze ordynata hrabiego Rajmunda Skórzewskiego w Czerniejewie, znajduje się między innymi i powyższe wykopalisko, znalezione w wielkim księstwie poznańskim, niedaleko Gniezna. Podajemy je w wiernym przerysie, dokonanym przez p. Ferdynanda Dienheim Chotomskiego.

Fig. 1, 2, 4 i 5 przedstawiają łzawnice, z których pierwsze dwie z czarnej gliny, inne z kutego żelaza, wszystkie w 1/4 naturalnej wielkości. Fig. 6, wyobrażająca wierzch łzawnicy fig. 4, jest wielkości naturalnej. Fig. 3 urna z gliny czarnej i fig. 7 młot kamienny, narysowane są także w 1/4 wielkości naturalnej.

OPOWIADANIA MYŚLIWSKIE.

(Dokończenie).

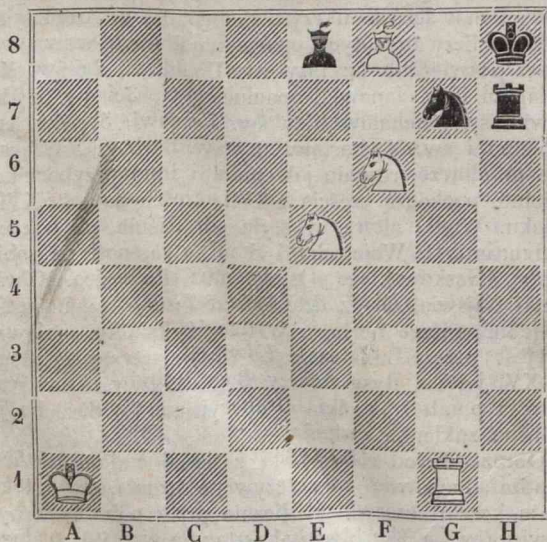
Dziwne jakieś i niepojęte uczucie wstrząsało całym moim organizmem. Ta pewność matematyczna, że to gonią niedzwiedzia, że już nadchodzi stanowcza chwila, która jak się rozstrzygnie, — niewiedomo, wprowadziła mnie w jakiś stan gorączkowy. Badałem i rozbieierałem później te uczucia psychologicznie, czy nie jest to zwątpienie, trwoga, lub dobitniej mówiąc, techorstwo? I przyznałbym się do tego z całą szczerością; wszakże to rzecz ludzka: „Homo sum et nihil humani a me alienum esse puto“. Ale to było zupełnie co innego. Nieporównana dwururanna strzelba w ręku, obok stojący szturmak z szeroką paszczą, z napisem gockimi literami: „et verbum caro factum est“, pewność strzału, (bo się to nieraz nie jaskółki, ale nawet wróble pojedynczo łowiło w powietrzu), a przytęmienie spokoju i przytomność umysłu, nie dopuszczały uczucia trwogi. Było to usposobienie takie, w którym człowiek zdolny jest do nierównej nawet walki na śmierć i życie wystąpić. To też gdy gon silny zupełnie na lewą stronę linii bojowej zaczął się przechylać, a z nim nadzieja spotkania się z niedzwiedziem zda-

SZACHY.

ZADANIE CXLVI.

(Anderssen w Wrocławiu).

Białe zaczynają i dają mat za trzecim posunięciem. Czarne.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 145.

Białe.

Czarne.

- 1) H 6 — F 5 + odkryty . . . 1) H 5 — G 4. (a)
 - 2) F 5 — E 3 + . . . 2) A 7 — E 3 biorą +
 - 3) F 4 — E 3 biorą + i mat.
- (a) 1) H 5 — G 6.
- 2) B 3 — C 2 . . . 2) G 6 — H 7 biorą,
 - [lub A 7 — E 3 +, lub B 7 — D 7 +
 - 3) F 5 — E 7, lub E 3, lub D 4 + odkryty i mat.

dnęj kuli dla pewności? „Nie trzeba panoczku, odpowiada, skórę papsujesz, albo zabijesz sabaku; użę on pijet piwo u Abrama.“ I to mówiąc trąbi pojednego, zeskakuje z konia, porywa niedźwiedzia, pada sam na ziemię i wciągając go na siebie, krzyczy przeraźliwie: „Gwałtu! ratujcie!“ Gończe na ten krzyk rzucają się wściekle i ściągają z niego niedźwiedzia, szarpając go niemiłosiernie. Podwając się z linii myśliwych: „O! mówiąc do zbiegających się z linii myśliwych: „O! tak panoczki trzeba uczyć sabaki, kab znali, jak czasom nieżartom przyjdzie licho, jak ratować człowieka.“

Nie będę tu opisywał owego szumnego gwaru, gdy się już myśliwi zgromadzili, jak wszyscy razem mówić pragnęli, każdy robił swoje uwagi, zapytania, spostrzeżenia i t. p., bo taka chwila dobrze jest znająca myśliwym i należy bodaj do najmielszych w życiu.

Podano nam wódkę i zakąski. Tu stary dojeżdżacz głos zabrał, prosząc aby mu wolno było dobyć żółci z niedźwiedzia i uraczyć nas wszystkich koleją, wlewając onej po kilka kropel do kieliszka, co mi się dość obrzydliwem wydało, bo i gorycz wielka, i surowość zapachu niemiła. Udał się wszyscy do punktu naszego zebrania pod cegielnię, gdzie wódka i piwo były przygotowane dla oblawy, i tam pożegnaliśmy swoich gości, a sam, wpakowawszy niedźwiedzia do bryczki, pojechałem na obiad do sąsiada S., do którego, podług mojego zdania, jako w jego lesie ubita, należała zdobyć. Tam znalazłem gości; wszyscy wraz z damami wyszli na dziedziniec oglądać niedźwiedzia, a ja odbierałem powinszowania mojego powodzenia.

Po obiedzie, gdy już spieszył do domu, gospodarz i goście na pamiątkę mojego tryumfu przysadzili mi niedźwiedzia, z którego naturalnie przybywszy do domu kazałem zdjąć skórę. Niedźwiedź miał dwie wielkie rany kulami moimi zadane. Jedną z nich przeszła go na wylot, zadrasnawszy nieco wątrobę, i tej kuli w nim nie było; druga, przybrawszy kierunek z boku ku górze, uwięzła w kości pancerzowej, kędy odnoga mózgu (ważna kryjówka życia) od głowy przebiega, i ta właśnie zdaje się być śmiertelną. Mięsa miał niewiele, a cały prawie ścięganymi i nerwami był pokryty, które kolorem stali hartowanej świeciły. Kiszki zupełnie miały próżne, czyste i świecące się; w ostatnim tylko ich zwoju znaleźliśmy kłębuszek wielkości orzecha włoskiego, gęsto zwiniętej jakiejś rośliny, o długich i wąskich liściach, a tak świeżej i zielonutkiej, jak gdyby dzisiaj spożyta była, chociaż od św. Marcina, to jest od 23 listopada do 44 lutego, przebyła w żołądku z górą trzy miesiące.

Badacze przyrody, schwyciwszy nie ze wspomnianego kłębuska, możeby niejedną osnuł hipotezę, dla odkrycia wielkiej i niepojętej tajemnicy w naturze, jakim sposobem istota organiczna, bez pokarmu, zachowuje się tak długo w pełnym życiu i zdrowiu. Może poznanie tej rośliny i zbadanie jej skutków doprowadziłoby świat do ogromnych zmian towarzyskich; bo i którzyby próżniak chciał pracować, wiedząc że za użyciem pewnej dozy tej rośliny, może się pograć na długo w owe miłe far-niente, które jeszcze w rezultacie dało niedźwiedziowi około funta bardzo delikatnej tłustości. Tłustość ta ma być wyborem lekarstwem na suche bóle i artrytyzmy, co podług mnie jest wierutną bajką. Cobądź, pomnę tylko, iż przez długi czas przychodzono jak na odpust i przysyłano do mnie po tę tłustość, którą najskrupulatniej dzieląc, rozdałem całkowicie.

Aleksander z Bratomiérza.

ŻYWY NIEBOSZCZYK.

(Wypadek, który na własne uszy słyszałem.)

Wszyscy dowodzą, że oprócz hultajskiego bigosu, każda inna rzecz odgrzewana nietylko smaczna co świeża, i w samej rzeczy to prawda. Ośmieliłem się jednak odgrzać ten wypadek, li tylko dla przestrogi starych tetryków, którzy może nie słyszeli o tym, a ceniąc jedynie tylko siebie i swoje widzimisie, podciągają wszystko pod przedawniały, sobie tylko wiadome formy i stają się przez to nieznosnymi dla swych współtowarzyszów.

Tandem tedy, nie w stolicy, lecz gdzieś nie pomnę na prowincji, na rogu pryncypalnej ulicy, wznosił się dwupiętrowy murywany dom, będący własnością jednego z urzędników piastujących dość znaczną w tym miasteczku posadę. A chociaż sprzączka, umieszczona na lewej stronie vice-munduru właściciela onego domu, dowodziła, że już dawno minęło trzy krzyżyki, nieskazitelną jego służbę, pan Joachim Chrenowski (takie zdaje się było jego imię i nazwisko) służył jednak dalej, li tylko z przyzwyczajenia. Dość porządnym kapitalik, z 45 pięciotysięcznych baranich skórek zło-

żony, uciulany przez oszczędne życie, zabezpieczał in saecula jego osobę od niezbędnych potrzeb. Pan Joachim wszakże, urzędnik z dziada-pradziada, był wielkim amatorem biurowości i sedentery. Latem czy zimą o godzinie 8 siedział już pan Joachim w swoim biurze, przebierał bez przerwanki różnego gatunku szpargały akt dawnych, układał kartki równo, przeszukiwał co niedobrze zeszyli woźni i znaczył numerami stronnice, punktualnie do wpół do czwartej. Podwładni jemu aplikanci i kanceliści nawet wyższych stopni, krzywem okiem patrzyli na tę akuracność.

Różne też na jego conto wyprawiano figle. Wspomnieć tu mi wypada, że pan Joachim był wzrostu niskiego, nieco zgarbiony, nietylko łysy, jak bardziej wysokiego czoła, które od nosa prawie aż do karku sięgało, strzeżone pożyczonemi od kołnierza dłuższymi włosami, co starannie uczesane, nad czołem wznosiły się w kształcie ostrokręgu. Brzuszek wprawdzie niewielki, lecz zgrabnie zaokrąglony, dowodził znakomitego o nim starania. Otóż ten p. Joachim, tetryk, znany w mieście jako człowiek nad miarę systematyczny, krzykliwy, zręda, gderacz, co okazywała cała jego kulisto-kapturkowata postać, bał się śmierci jak ognia.

Nie podobala się, jak wyżej już wspomniałem, ta zbytnia systematyczność i amatorstwo gderania młodym biurowym paniczom, którzy prawdę powiedziawszy, radziby często, a szczególnie w chwilach wolnych od próżniactwa, opuszczać miejsca przezydialne, by czas korzystniej przepędzić w kawiarni, na billardzie, lub w innym jakim publicznym zakładzie; na co się niełatwo zgadzał nasz bohater i żądał by każdy ze składu jego niewielkiego biura, ciągle był na jego oczach, by razem z nim szperał, zrędził, mruczał pod nosem, zresztą by choć muchy chwytął, aby tylko w biurze, pod jego zarządkiem i za jego wiedzą.

Podobnych więc sobie lubił, protegował, zresztą pocieszał nadzieją otrzymania wyższego stopnia, a nawet, co się rzadko zdarzało, zapraszał na herbatę. Do tych zaś, którzy przeciwnie postępowali, czuł p. Joachim nieopisaną antypatyę.

W témże samém biurze pracował w stopniu aplikanta młody p. Walery, chłopak majątny, któremu tetryctwo Chrenowskiego weale nie było na rękę. Nielubiany za to od naczelnika, zbijał tylko baki na ulicach i bardzo rzadko uczęszczał do biura, nie chcąc swą obecnością rozdrażniać p. Joachima, który za ukazaniem się Walerego zaraz tracił humor. Wszystko wtedy robiono nie według jego woli, wszystkim okazywał niezadowolenie, a przez to narażał siebie i innych na niepotrzebne sprzeczki, które dochodziły nieraz do wyrażenia klótni.

Pan Walery, już lat pięć lub sześć aplikując, zaszczycony niełaską swego naczelnika, nie spodziewał się prędkiego awansu, a będąc zamożnym, niebardzo wiele przykładał do tego wagi; lecz ciągle strofowany i widząc iż nawet sama twarz jego była nieznosną dla p. Joachima, postanowił podać się do dymisji i szukać szczęśliwszego pomieszczenia.

Otrzymawszy suplikę proszącą o uwolnienie, tra się rozumieć iż p. Joachim bez najniżej zwłoki położył pożądaną dla Walerego dekretycją i na trzeci dzień nasz panicz nie należał już do składu zarządzanego przez pana Joachima biura.

Dnia tegoż wieczorem zebrane towarzystwo młodzieży, siedziało około okrągłego stolika w jednym z gastronomicznych zakładów, a między swymi towarzyszami p. Walery trzymał niepoślednie miejsce.

— Uwolniłeś się przecież z biura? spytało Walerego.

— Tak, dzięki Bogu, teraz swobodnie oddycham, gdyż nie uwierzycie ile mi dokuczał ten stary. Prawda że zwykle sześć dni nie nierobilem, a siódmego odpoczywałem, jednakże tak na sucho nie puszczał mu wszystkich nieprzyjemności i obelg jakie mi wyrządzał.

— Cóż więc chcesz zrobić? spytało.

— Jutro się o tém wszyscy dowiedzie.

I to rzekłszy, z jakimś ukrytym zamiarem w myśli, spieszenie wyszedł Walery.

Blady, ciągle skrywający się księżyc wyjrzał z za chmury i oświecał nam drogę. Po chwili na dość oddalonej od środka miasta ulicy wszedł do niewielkiego domku.

— Mój kochany, oto masz rubla srebrem zadatku, rzekł smutnie Walery. Według tej miary zrób trumnę, tylko żeby jutro rano o 8ej była gotową.

— Dobrze wielmożny panie, odrzekł stolarz. Lec, gdzie ja mam odnieść?

— Wiadomy ci ten wielki dom narożny?

— A, pewno tego starego urzędnika.

— Właśnie on dziś pożegnał się z tym światem; do tego więc dom odniesiesz jutro trumnę, gdzie odbierzesz resztę należności.

Uskuteczniwszy pierwszy obstalunek, pan Walery

natychmiast udał się do blizkiego sklepu i porobił rozmaite sprawunki potrzebne do obicia trumny, a upakowawszy wszystko jak należy, rozkazał młodemu kupeczykowi nazajutrz, o tej samej punktualnie co i stolarzowi godzinie, odnieść takowe do domu p. Joachima. Nareszcie, udawszy się do poblizkiego klasztoru, uprosił przełożonego, by jutro rano akuracie o 8 godzinie dwóch braciszków-zakonników z lichtarzami, świecami i całym przybořem, raczył wysłać do wyz wspomnianego domu, dla odśpiwania nad ciałem nieboszczyka modlitw i psalmów. Przełożony przyrzekł najsolenniejsz spełnić prośbę Walerego, który przy pożegnaniu, położywszy na stole dukacika, wyszedł z klasztoru.

Wiedząc o nagłej śmierci p. Joachima rozeszła się szybko, i znaleźli się nawet tacy, co upewniali iż widzieli własnymi oczami ciało nieboszczyka, leżące na katafalku w jego mieszkaniu, choć p. Joachim w tej samej chwili dokończył trzecią szklankę herbaty, której był wielkim amatorem.

Nie wiem skutkiem czego, lecz najpewniej skutkiem silnego przeładowania żołądka, nasz Chrenowski od niejakiego czasu czuł wielką niestrawność, która mu przeszkadzała w pełnieniu obowiązków biurowych. Niestrawność była przyczyną bólu głowy, i nasz 60cio letni staruszek, siedząc pomimo tego wszystkiego nad herbatką z cytryną, marzył iż może nieza długo przyjdzie mu opuścić tę ziemską pielgrzymkę, i z takimi myślami usnął.

Nazajutrz o godzinie w pół do ósmej, pan Joachim, czując się nieco zdrowszym, wstał i według zwyczaju oglądał listy zastawne, które w niewielkiej żelaznej szkatułce umieszczone były w głowach pościeli. Przekonawszy się iż wszystko było w należytych porządku i całości, wychylił dla strawności i energii kieliszek miętówki, zakąsił i wybierał się do biura, marząc o tém, kogo w przypadku śmierci naznaczyć swym spadkobiercą.

Wyszedłszy do przedpokoju, zobaczył jakiegoś nieznanego.

— Czego żadasz, przyjacielu? spytał p. Joachim.

— Przyniosłem trumnę dla zmarłego p. Chrenowskiego.

— Co?

— Wczoraj rozkazano mi tu ją dostawić; właśnie też gotowa stoi na podwórzu.

Oslupiał p. Joachim na takie dictum acerbum. Zbladł, zadrżał, lecz przytłumiwszy w sobie uczucia zadziwienia i strachu, starał się przekonać przybyłego że się myli.

Wtém drzwi się otworzyły i wszedł kupeczyk.

— Czego ci potrzeba? spytał gniewnie p. Joachim.

— Przyniosłem galony do obicia trumny, gwoździ i inne rzeczy. Wczoraj zmarł p. Chrenowski. Pan dobrodziej nie wie?

— Błaznie! krzyknął p. Joachim, przywołując całą swą cywilną odwagę. Ja sam jestem Chrenowski. Czyście powaryowali? Wszakem żywy i zdrow.

— Ale gdzież tam! to pewnom nie trafił. Lecz zdaje mi się, rzekł oglądając się chłopiec, że to samo mieszkanie.

Stolarz spojrział na młodzieńca, młodzieniec na stolarza, obaj zaś na pana Joachima; a pan Joachim patrzył okiem niepewnym na obydwóch, nie umiejąc sobie zdać sprawy z tego co miał przed oczami. Widok trumny i wszystkich należnych do niej przyborów do tego stopnia przygnębił naszego bohatera, że milcząc, błędnem okiem wodził po stojących nieopodal zwiastunach jego pogrzebu.

Po chwili uczucie strachu i niedowierzania, przemieniło się w gniew gwałtowny, niczem niepohamowany, i p. Chrenowski, nie mogąc ukryć takowego, kilkoma szturchanicami, pomimo wieku zręcznie wymierzonymi, pozbył się nieproszonego gościa, który co prędzej zabrawszy swoje towary, ruszył jak zmyci.

Rozdrażniony do najwyższego stopnia, p. Joachim szybkimi krokami przechodził się po swym pokoju, przecierając oczy dla przekonania się, czy na jawie, czyli też we śnie widział scenę poprzedzającą; lecz przekonany o rzeczywistości, spojrzął w wychodzące na ulicę okno—i coż widzi? trzech braci laików z kościelną przysługą, niosących woskowe świece, ogromne lichtarze, nabożne księgi, słowem wszystkie należące do pogrzebu przybory.

— O Boże wielki! coż się ze mną dzieje? Czy rzeczywiście już niema mnie na świecie? wrzasnął rozpaczliwym głosem, usłyszawszy wchodzących zakonników, którzy bez ceremonii zaczęli wybierać miejsce dla wygodniejszego ulokowania katafalku.

— Gdzież wielmożny pan ma zamiar postawić ciało nieboszczyka Chrenowskiego? spytał jeden z przybyłych.

Nie było żadnej odpowiedzi; zakonnicy więc, biorąc to milczenie za rozpacz po niedawno zmarłym, zaczęli porządkiem ustawiać lichtarze i osadzać świece wielkiego formatu.

— Gdzie jest ciało p. Chrenowskiego? spytał drugi.

Na to wspomnienie wzdrygnął się stojący opodal prawie bez pamięci gospodarz, ocucił się jakby ze snu letargicznego i począł coś bąkać. Słyszając niewyraźne słowa, nieproszeni goście poczęli szukać zmarłego, lecz nie znalazłszy go, wrócili do miejsca na którym jak przykuty siedział p. Chrenowski. Nareszcie cudem Boskim nasz żywy nieboszyk powrócił przecież do przytomności i wypytał się o przyczynę ich przybycia, a zakonnicy, przekonawszy się o pomyłce, wrócili do klasztoru.

Wszyscy okoliczni mieszkańcy zebrali się tłumnie, dla dowiedzenia się o istocie słyszanych i widzianych rzeczy, a nawet znaleźli się i tacy, co jak niewierny Tomasz dotykali się p. Joachima, w celu dokładniejszego zbadania prawdy.

Trzy tygodnie Chrenowski chorował obłóźnie. Nakoniec, dowiedziawszy się o figlu p. Walerego, który niebawem wyjechał, starał się ile możności przeistoczyć swój swarliwy charakter, a bojąc się by nie powtórzone czegoś podobnego, podał się do dymisji, pozostawiając wakans innemu, który dziś stokroć korzystniejszy dla szczygółu i ogółu spełnia opuszczony przez pana Joachima obowiązek.

J. Ol.....

HERAKLESOWE DROGI.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

I.

Na poddaszu.

Karnawał się kończył. Stary Kraków szalał ostatkiem uciechy; turkot powozów gluszył wrzaski pijanych włóczęgów. I na pańskich salonach i po szynkach miejskich było dużo zabawy, gorąca, muzyki, a cienie tańczących par przesuwaly się w oknach jasno oświetlonych. Dziwnie klóciła się ta wesołość ludzi z nocą ciemną, wilgotną, błotnistą i z jękiem dzwonów na kościelnych wieżach, co się modliły za szalejącymi. Kogo wtedy smutek wyniosł nad ten mętny wir zabaw, musiał ze strachem patrzeć na to wesołe szaleństwo: było to bowiem coś podobnego, jak kiedy żebrak ucieknie z cmentarza, upije się ze smutku i skacze wesoło, trzęsąc brudnymi łachmanami.

W taki wieczór szedł koło Sukiennic drogą od Panny Maryi kościoła ku Szewskiej ulicy młody człowiek lichym płaszczkiem zle przed zimnem osłonięty. Powracał z kościoła, z kądem właśnie po skończonem nabożeństwie dużo ludzi wychodziło. Wieczór, jak mówiliśmy, był słotny, wiatr kołysał latarniami i bił mokrym śniegiem w okna i twarze przechodzących. Młody człowiek szedł śpiesznie; tylko raz, przechodząc około okien jasno oświetlonych, zatrzymał się na chwilę; z okien dochodził go głos muzyki, w skoczonym i szalonym mazurze płały się cienie tańczących na szybach okna. On stał chwilę słuchając, potem otulił się jeszcze mocniej płaszczem i przyspieszył kroku, jakby chciał coprościej uciec od tych okien, niesłyszcząc muzyki. Niezadługo wbiegł do jednej kamienicy na trzecie piętro.

— Zimno, Grzegorzu, rzekł wchodząc do ciemnej izdebki, oświetlonej tylko drzącym światłem ognia roznieconego w piecu—i mówiąc to strzepywał z płaszcza grube płatki śniegu.

Przy piecu siedział stróż i łatał sobie kozuch. Izdebka była skromna, niewielka i umeblowanie jej też niewiele zajmie opisu: dwa łóżka drewniane, półtrzecia stolka, jeden stolik, trochę książek i kilka kawalków odzieży wiszącej w kącie, — na ścianach nad łóżkiem czarny krzyżyk, niżej medaliony Kościuszk i Słowackiego, przy drzwiach dzbanek z wodą, miska i trochę drewek—ot i wszystko.

— Ale tu panie ciepło—odrzekł Grzegorz, usuwając się młodemu. Niech pan siada. A co? ciepło? prawda?

— Zkądże wzięłeś drzewa? czy Leon dostał z kądem pieniędzy?

— Ale ba! u pana Leona tyle zawsze pieniędzy, co wróbił w pustej stodole. To ja za swoje, proszę pana. Dostałem od księdza na tabaczkę, więc sobie myślę: zrobię panom bal na ostatki i zapalę w piecu; przyjdzie pierwszy, to panowie Grzegorzowi oddadzą.

— Poczciwy Grzegorzu, Bóg ci zapłać—powiedział

młody człowiek, (którego Julkiem nazwiemy), siadł przy piecu, zatarł ręce, potem je wyciągnął nad blachą i zapatrzony w ogień, o czémś głęboko się zamyslił.

— Szkoda że pana Leona niema, użyłby także, ciągnął Grzegorz i na połamanym stolku przysiadł się do Julka. Gdzież to pan byłeś? zagadnął młodego, kontent że ma z kim pogwarzyć.

— W kościele, odrzekł krótko Juliusz.

— W kościele? proszę... proszę... Niewiele tam pewno było ludzi, teraz karnawał...

Kusił i kusił stary do rozmowy, ale z ust zamyślonego skapo wychodziły słowa. Grzegorz nierad był temu i po krótkim przestanku znowu się odezwał:

— Panicz dziś jakoś nie swój? Ba, to i łatwo zgadnąć, teraz karnawał... pobulałby się chciało, zwyczajnie jak młodemu, a tu niema za co... Ha, coż robić?...

— Nie, mój Grzegorzu, zleś się domyślił. Choćbym i miał na to, to w tych czasach nie mógłbym się bawić. Teraz wypada rocznica strasznej śmierci moich rodziców, a więc byłbym złem dzieckiem, żebym tańcem obchodził tę rocznicę.

— Ej, licha mnie podkusiło martwić pana...

— Nic to, mój Grzegorzu. Ja wolę się smucić, niż nadto weselić; bo jak człowiek wesoły, to się wygada, wyśmiej, a potem pusto jakoś; a w smutku to człękowi jak w kościele, i modlić się więcej może, i spokojniejszy jakoś...

— Oj, co prawda, to prawda. Pamiętam jak pochowałem mojego syna, to człowiek wyraźnie jak dzik od ludzi uciekał, i świat mi był niemiły, i między ludźmi okrutnie zle. Dopiero kiedyś się gdzie na boku wypłakał, a do tego koronkę odmówił, to mi potem tak jakoś dobrze było na sercu, jakby sam Pan Bóg ręką pogładził. Ej, walny to był chłopiec z mojego Józka. Mój Boże, gdyby żył, byłby już taki jak pan...

— Fe, coż to, Grzegorz płacze jak baba?

— I jakże nie płakać panie, kiedy sobie pomyślę, że gdyby żył mój syn, tobym się tak nie poniewierał na stare lata.

— Tak pan Bóg chciał, Grzegorzu. I ja inaczej zacząłem życie, niż je dzisiaj pędzę. Coż robić?

— Więc pan już nikogo nie ma na świecie z rodziny?

— Są tam jeszcze jacyś bogaci krewni, ale nie przyznaję się do nich, bo oni za bogaci żeby się za mnie nie wstydzili, a ja za dumny żeby ich prosić o co.

W tej chwili dał się słyszeć pośpieszny chód po schodach, i wnet, roztworzywszy drzwi szeroko, wpadł do izby Leon, niskiego wzrostu, muskularny, brunet. Czarne, świecące oczy żywo mu latały. Ubrany był w płócienną bluzę, a na głowie miał coś podobnego do czapki.

— No, Julku, ciesz się, krzycz vivat!

— Ależ bój się Boga, jak ty chodzisz? przebiebisz się... gdzie płaszcz?

— Płaszcz, ehl dałem go jakiemuś chudzinie. Podszedł do mnie i skomli że głodny, że mu zimno. No, pieniędzy nie miałem, więc mu dałem płaszcz. I tak już był dziurawy i poplamiony. Ale słuchaj, nie o tém mowa. Jadę do Włoch. No i coż ty na to?

— Szalony Leonie, znowu jakiś figiel...

— Dalibóg że nie. Słuchaj. Wszyscyście od jakiegoś czasu gadali mi: próżniak, próżniak...

— He, he, to tak nie przymierzając jak św. Mateusz—zawołał nagle Grzegorz z pod pieca.

— Co św. Mateusz? czy i on był próżniakiem?

— Ej, gdzie zaś proszę pana; tylko św. Mateusz, to także uciał z przeproszeniem płaszcza...

— To może św. Marcin?...

— To, to, to... św. Marcin. Pamiętam jak o tém ksiądz u Panny Maryi gadał. Mój Boże, ja sobie myślałem wtedy: co święty, to święty, terazby ta nikt, uczciwszy uszy, i chustki od nosa nie uciał. A tu tymczasem, ktoby się spodziewał?... pan Leon. No, ale jakże pan teraz pokaże się na ulicy? ta to jeszcze luty.

— A mnie co po tém? Jadę do Włoch! rozumiesz Grzegorzu? a tam tak ciepło, że płaszcz nie potrzeba.

— Eh, pan żartuje.

— No ależ gadaj Leonie...

— Ależ słuchajcie mnie... Otóż mówiliście mi: próżniak. Ja wtedy odpowiadałem: próżniak, to sobie; ale w duszy ta nagana mnie gryzła, bolała. Wziąłem się więc do pracy i w kilka dni zrobiłem z gliny Kuszanie Chrystusa. Czuję że mi się udało i professor z zajęciem je oglądał. W kilka dni potem dano mi stypendium za granicę. Rozumiesz Juliuszu? za granicę!!! Ja będę w Rzymie, we Florencji, w Neapolu...

— Więc tak znaczne stypendium dostałeś?

— Znaczne? nie... 400 guldenów...

— No, to przecież z 400 guldenami nie puścisz się do Rzymu i Neapolu?

— A czemu nie? choćby piechotą, to dojdę. Mnie nie idzie o to jak być w Rzymie, tylko żeby być w Rzymie. Mniejsza o to czy jak ulicznik tam wejść, czy jak bogaty Anglik. Będę jadł z włoskimi lazarunami, spał pod włoskim niebem; więc już mieszkanie darmo, a życie bardzo tanie. Do tego elegant ze mnie niewielki, więc pieniądze wystarczyć muszą. No, ale coż, ty nie radujesz się mojem szczęściem?

— Chciałbym, powinienem, ale jakoś nie mogę. Rad jestem że ludzie odkryli w tobie to, co ja już dawno widziałem. Mam nadzieję, że i reszta mych przeczuć się spełni, że kiedyś błysniesz przed światem posagami i geniuszem; ale mi smutno, że się nam rozstawać przychodzi. Jest może trochę samolubstwa w tym smutku, lecz czuję że mi tu ciebie bardzo brakować będzie. Ja nieraz potrzebowałem wspierać się na tobie.

— No, przez kilka lat przecie nie obalisz się, a tymczasem ja wrócę, może wkrótce. Bo niech tam Rzym będzie cudny, przecie czuję że mi nie zastąpi Krakowa, że wrócę z bijącym sercem do tego ulubionego kąta nad Wisłą pod Wawelem; czuję, że cię znajdę wtedy, bo artyści, to nie ryby w mętnej wodzie, jeno gwiazdy nad morzami, co łatwo je dostrzeżesz.

— Z wielką ufnością patrzysz w przyszłość, mój drogi. Nie wiem czemu ona mnie nie tak różowo się przedstawia; aż boję się o nią myśleć i w nią patrzeć... Coś tam ciemnego i smutnego widzę na dnie. Nie śmiej się, mój drogi, gdy ci powiem, że ile razy myślami podnoszę zasłonę swojej przyszłości, to mi w niej migają żebracze łachmany i trochę poezji.

— I ślepe oczy Homera, nieprawda? Oj poeto, poeto!

— A to próżne gadanie, panowie, zagaił znowu Grzegorz poważnie. I cieszyć się niema czego zbytnie, i bać grzech. Wszystko od pana Boga zależy, a ja u panów rzadko słyszę: „jeśli Bóg pozwoli, jeśli Bóg da doczekać.“ To zle...

Młodzi milczeniem przyjęli uwagę starego. Julek się zamyslił, Leon stanął przy piecu i grzał się.

— Ale wiesz co, Julku, pomimo ładnych nadziei, którymi się karmię od rana, czuję że diabelnie głodny. Chętniebym co przetrzącił.

— Poczekaście panowie, ja mam coś w woreczku, pójdę i przyniosę.

I nie czekając na pozwolenie, wyszedł służący z izdebki.

Leon chodząc po pokoju, potem stanął obok zamyślonego Julka i uderzając go po ramieniu, rzekł:

— Budzę cię w kolorze czerwonym... a co, zgadłem?

— Nie zgadłeś tą razą, Leonku. Dziś nie mogę myśleć o nikim, jeno o tobie, którego mam stracić za dni kilka.

— Tak, za tydzień jadę.

— I mówisz to tak zimno?

— I coż, chcesz żeby płakał? Ja nie lubię swoich uczuć na targ wynosić. Gdybyś teraz mógł zająć we mnie, możebyś w jaki szalony poemat złożył tę burzę, co mnie dziś szarpie... Ale nie mówmy o tém. Coż twoja Andzia?

— Leonie! nie o nią, nie o nią dziś mówmy.

— Owszem, o nią, o nią. Chcę tego, proszę cię o to. Potrzeba mi dla uspokojenia się usiąść wśród sielankowych obrazów waszej miłości. Dawno ją widziałeś?

— Trzy dni już jej nie widziałem. Dziś, przechodząc koło jej okien, słyszałem muzykę, okna były mocno oświetlone—bawiła się—to mnie zabolalo.

— Ależ jakże chcesz: młoda, ładna, chciałaby się bawić...

— I kwiaty na cmentarzu ładne, a smutne...

— Mój kochany, zle zrobiłeś porównanie. Twoja trzpiotka nie była nigdy podobną do kwiatów cmentarnych, a tém mniej w karnawał.

— A przecie czuję, że jej nie kochać niemożę.

— Wszystko to bardzo ładnie; ale czy ona cię kocha?

— Mnie tego nie potrzeba. Ja ją kocham—to dosyć...

— Więc się zeń.

— Oblałeś mnie zimną wodą.

— Nie, tylko cię budzę ze snu, żebyś żyć zaczął...

— Pozwól mi jeszcze spać na tych tęczach...

— Sybaryto!

— Jest chleb i masło, rzekł z tryumfującą miną Grzegorz wchodząc,—i jeszcze coś mam, ale nie powiem, niech panowie zgadują. I uśmiechnął się stary.

— Może jabłka?...

— Nie.

— Może sér?

— I to nie.

— Ależ na Boga, powiedz już Grzegorzu.

Grzegorz powoli, z poważną miną wyjął z kieszeni sekret i pokazał.

— Cygaro! — krzyknęli młodzi z taką prawie radością, z jaką towarzysze Kolumba krzyknęli: ziemial! Porwali je z rąk uśmiechniętego Grzegorza, podzielili się tym skarbem i wnet, jak olimpijscy bogowie, otoczyli się gestami obłokami niebieskiego dymu.

— Grzegorzu! mówil ucieszony Leon — jak kiedy przyjdę do pieniędzy, to ciebie zrobię swoim kassyerem.

— A cóż panowie powiedzą — intrygował znowu Grzegorz — gdy powiem że jeszcze mam coś?...

— Jeszcze coś? a to bał nam dziś Grzegorz wyprawia.

— Hm, może i będzie bał. To mówiąc, wyciągnął z drugiej kieszeni list.

— List? do kogo?

— Niech panowie czytają.

— To do ciebie, Julku....

— Do mnie? od kogo? I wziął list w ręce, roztworzył i prędko, niespokojnie przeleciał go oczami.

— Od kogo to? spytał Leon.

— Od jakiegoś mego stryja, którego nie znam.

Pisze mi że dopiero teraz dowiedział się o moim pobycie w Krakowie, że chce się zająć moim losem i pragnie mnie niezwłocznie widzieć u siebie. Oczekuje mnie 20 tego miesiąca.

— Więc jutro? I ostatni tydzień naszego widzenia się przepadł.

— Nie, nie przepadł — ja nie pojadę....

— Julku, przez miłość dla mnie, dla twojej Andzi, pojedziesz. Ta chwila może stanowić o twoim losie.

Nie odrzucaj jej lekkomyślnie dla kilku dni, które miną. Mnie tu wprawdzie będzie źle bez ciebie w Krakowie przez ten czas, ale darmo. Będę chodził, myślał, będę żegnał każdy kątek mego Krakowa, a potem.... Ale wiesz co? dobra myśl: zrobię ci na pamiątkę biust Andzi.

— O! dobrze!... ale nie — nie!.

— Cemu? zazdrośnik! Nie bój się, nie rozkocharam ci jej....

— Nie, mój drogi, nie o to mi chodzi. Ale ty w rzeźbie nie umiałbyś zrobić jej oczu płomienistych, nęcących, figlarnych — i pierwszy raz w życiu miałbym cię za lichego artystę.

— Bobym jej nie zrobił tak piękną, jaką ty w duszy zrobiłeś ją sobie. Prawda?

— Nie mówmy już o tym, proszę cię. Dziś ostatni wieczór naszego widzenia się, więc go cały tobie poświęcam. Będiesz pisywał do mnie?

— A ty?

— Ja ci się będę naprzykrzał swojemi listami.

— A ja ci tomy będę pisał o swoich podróżach. Ale jeszcze jedno: pamiętaj tu o moich węglarzach.

Ludzie to prości, ale poczciwi; my powinniśmy iść z nimi, schylać się ku nim rozumem, a dorastać ich sercem. Bywaj między nimi często — czytaj im co powinni wiedzieć. Nie wstydz się, że cię kto zobaczy między nimi, że cię zasmolą spracowanymi rękami; oni ci tę łaskę odpłacą sercem. Napiszesz mi o tym, dobrze?

— Dobrze.

— I będziesz zawsze kochał ten biedny lud i stawał po jego stronie?

— Będę, będę Leonie.

— Pamiętaj na ten ślub. Utoni duszą w duszy tego ludu, wydobądź z tamtąd jego skarby i postaw je na piedestał, a będziesz więcej jak artysta. Dzisiejsi nasi poeci przestali nasamym artystami; to też srodze zostali poniżeni. Poezye ich służy jako dodatek do czarnej kawy, jako lekarstwo na sen. Daruj mi, że jak mentor mówię, ale muszę w chwili odjazdu, bo się boję byś nie poszedł ubitym gościńcem szlacheckich gawęd, nie apoteozować, nie kadził temu, co podniesienia niewarte. Uczę się na posagach historii greckiej, poznałem ducha Hellady, która ma z nami wiele podobieństwa. Jeżeli greccy sztukmistrze nie dla sztuki, ale dla chwały narodu tworzyli, to nam tym bardziej powinno być wstyd przestać na samym artystynie. I cóż, przyrzekasz mi że pójdziesz tą drogą?...

— Ależ Leonku, mówisz jak do wielkiego poety, a masz przed sobą lichego więszokletę, którego poezya może za parę lat utonie w mętach powszedniego życia i swoje więszkie nazwie grzechem młodości.

— Widzisz, to grzech tak mówić. Nie lubię samochwalców, ale brak wiary odejmuje siły i marnuje talent. Jeżeli nie czujesz w sobie siły twórczej, to odrzuć chętkę więszowania; ale jeżeli masz w sobie tę siłę, to sobie powinienes powiedzieć: „będę pisał,” i wtedy poezya stanie się zadaniem twego życia i będziesz pracował nad nią. Bo choć nie poeta, przeczuwam to, że i poeta tak musi męczyć się nad formą, jak rzeźbiarz z dłutem w ręku nad kamieniem. I nie wierzę w tak zwane natchnienie poetów. Natchnienie, to chwilowy przeblask przez duszę pięknej myśli; ale artysta winien tę chwilę rozpiąć na swęj duszy, prze-

myśleć ją, opracować. Duch, to jest skorupa ziemi: im głębiej kopiesz, tym większe bogactwa znajdujesz. Do takiej pracy ducha potrzeba abyś się namaścił postanowieniem, to nie będziesz pływał po wierzchu tego ducha, lecz będziesz pisał wielkie prawdy. Cóż Julku, wszak będziesz takim?

Słowa te mówił Leon z gorączkowym rumieńcem na twarzy, z ogniem w oczach.

— Dobrze, dobrze, Leonie. Będę myślał nad tym coś teraz powiedział. Późniejsze moje życie i moje prace staną za odpowiedź.

Długo w ten sposób rozmawiali o miłości, sztuce, przyszłości, a głośnie chrapanie Grzegorza, co z koronką w ręku zasnął pod piecem, wtrzyło rozmowie młodych ludzi, którzy z taką wiarą i nadzieją wchodzili w życie. Gdy się już spać kładli, Leon rzekł:

— Wiesz co, rozmyślałem się, nie zabawię tu dłużej w Krakowie bez ciebie. Jutro wyjadę, ale wprzód pójde jeszcze pożegnać swoich rodziców.

— Jakto? więc myślisz że przebłagasz ojca?

— Może w chwili odjazdu będzie inny; przecież to zawsze ojciec. Dobranoc.

— Dobranoc.

Ale niezupełnie dobrą była ta noc dla Leona. Niespokojny rzucał się po łóżku.

II.

Pan Fritz.

W naszych spekulacyjnych czasach nietrudno napotkać ludzi, którzy zabiegami, handlami, spekulacyami wypelzali nad stan swój, nad gmin, i przyszli do wielkiego mienia. Do takich dorobkowiczów należał pan Fritz, ojciec Leona. Małym chłopcem jeszcze opuścił dom biednych rodziców i poszedł w świat, dla zrobienia losu. Był to cel jego wielki i jedyny, więc nie uważał kłóty idzie do niego, czy przez niego, czy przez krzywdę ludzką, czy przez pogardliwą sline ludzkiej wzgardy. „Jak będę miał pieniądze, to mi się kłaniać będą ci, co mnie teraz depczą,” mawiał sobie i ocierał z czoła zęływości i szedł naprzód. W kilku latach przewędrował całą Europę. Jako garson, faktor, tłumacz był po wszystkich główniejszych miastach, aż w końcu przypadek zagnał go do Polski, i tu mu się najlepiej powiodło. W końcu ożenił się z majątną mieszczką i stał się wnet panem wielkiego majątku. Ale przyszła i na niego chwila zwykła u dorobkowiczów, w której zebrane przez tyle lat i z takim mozolem pieniądze, nie zadowalały go zupełnie, w której pragnął użyć życia, pragnął odpowiedzieć swemu majątkowi zając stanowisko w świecie. Ale tego już kupić nie można było. Schodzili się wprawdzie do zastawionych stołów, do pysznych salonów liczni goście, ale essencya miejskiego towarzystwa trzymała się zdaleka od niego. To całkiem nie schlebiało jego dumie.

— To czego oni odemnie chcieli, mawiał nieraz pan Fritz. Chcieli wykształcenie, to ja mam. Ja znam całego Europa jak mało kto; mówię języki, jak żaden z tego głupi szlachta, mam majątek nieodmierzony, nie tak jak te chude hrabi.

Towarzystwo jednak wyższe jakoś nie uwzględniało tych uwag, bo unikało zawsze i samego gospodarza i jego hojności. Zato pieczeniarsze, ludzie w których znajomości pan Fritz nie widział dla siebie wielkiego zaszczytu, przepelniał jego pokoje. Poznał się zawczasu stary; że spekulacyi na tym handlu nie robi, zamknął dom przed nosem gości, wyniósł się na małe miasteczko, by oszczędnością odpokutować za stracone pieniądze, i tam przed żoną, dziećmi i służącami udawał zreżymie magnata. Czy to kazał słudze podać sobie szklanek wody, czy wyjmował chustkę od nosa, zawsze mina pańska, poważna, więc mówiąca gestami niż słowami; zawsze ta mina kazała się domyślać czegoś, czego nie było w panu Fritzu. Ręce w tył założone, usta myśląc sfaldowane, oczy w ziemię wbite i ruchy pełne znaczenia, robiły chudą figurę pana Fritza arcy-zabawną. Dla żony stał się nieznośnym: patrzył na nią jak na zawadę swego losu, jak na zakatę własnego domu.

Djabel mnie po głupia baba, co ani żadnego wykształcenie, ani z rodu ładnego. Inaczejby ja stał, gdyby ja miał inną żonę.

Zawiedziony w rachubach, pan Fritz pokładał całą nadzieję w swoim synu Leonie. Miał i córkę Helenkę, nierównie młodszą od Leona, ale tej nie lubił.

— Djabel mnie po córka! — Dostanie męża, na jakiego mnie stać będzie kupić dla niej, i basta. Ani ja honor z tego, ani ja majątek zarobić.

Syn, to co innego; syn miał mu otworzyć drzwi do tego zakłętą szczęścia, do którego napróżno jego dumy kołatała.

— Leon! ty będziesz wielki szlofik — ty się wykie-

rujesz na pana i ojca na pana. Ty musisz bywać w magnackie domy, a ja z tobą.

Dla tej myśli, dla tej nadziei wychowywał swego syna, pieścił go, dogadzał mu i nieraz prawie prosił go, głaszcząc pod brodę:

— Leonku, ucz się, żebyś ty był wielki pan.

Każdy postęp w naukach małego Leonka opowiadał znajomym i nieraz wśród zgromadzonych gości wstawał, wołał Leonka i mówił:

— Leon, mów ty nam po łacinie.

A potem:

— Leonku, teraz po francuzki język — a teraz po niemiecki — a teraz zagraj mi tego piękna sztuka, co twój metr ci pochwalil.

Leonek czerwienil się, ale nie sprzeciwiał się woli ojca. A pan Fritz dumnym okiem wodził po gościach, czytał na ich twarzach wrażenia, a potem rozpowiadał im wiele go kosztuje edukacya syna, wiele jeszcze będzie kosztować, gdzie go wysle na jej dokończenie i t. d.

W zamiarach takich odwiózł syna do Krakowa, umieścił na najpięrszej pensyi, gdzie (jak sam mówił) „sami hrabski dzieci” są, i nie szczędził kosztów. Dużo miał Leon do znoszenia w otoczeniu młodych

paniczek, którzy pańskimi noskami poculi nieszlachecką krew dorobkowicza i na każdym kroku dawali mu to poznać. Wśród tego ciągłego upokorzenia, wśród prześladowań, które wstydem i oburzeniem pahlły twarz chłopca, nabrał on nienawiści do herbów, do salonów, do panów i wcześniej już nad tym zaczął myśleć, czemu herb, znaczek mały, daje człowiekowi jednemu wyższość nad drugim, bez trudu i zasługi? Stronił więc od paniczek, a natomiast szczerze przyglądał do kilku uboższych kolegów szkolnych, szczególnie do Julka. W szkołach uczył się nieźle, ale daleki był jeszcze w tym względzie od życzeń ojca. Szczególniej do niemieckiego języka miał wstręt; to też ile razy w klasie rezydowała chuda twarz Niemca, ozdobiona zielonemi okularami i wystającym nosem, Leon już mało patrzył w książkę, a zato z dziwną zgrabnością ugniatał z wosku twarz kolegów i strugał przeróżne figurki, które puszczał w obieg. Jedną z takich figurek, wyobrażającą Matkę Boską, dostała się w ręce profesora.

— I to takimi rzeczami bawisz się na lekcji i marnujesz czas? Lepiejbyś zrobił, żebyś sobie poszedł na rzeźbiarza, bo z ciebie nie nie będzie, rzekł rozniewany professor.

Te słowa, powiedziane w chwilowym uniesieniu, utkwily głęboko w głowie chłopca: poczał wątpić o swoich zdolnościach, a natomiast częściej myślał o rzeźbiarstwie. Raz poszedł do szkoły sztuk pięknych.

— Jakie to piękne rzeczy! mówił, patrząc ze czcią na posagi.

Te posagi zostały w jego oczach, w jego myślach. Jesć i spać mu nie dawały. Aż raz wczas zerwał się z łózka i napisał do ojca: „Ojcie kochany, pozwól mi zostać rzeźbiarzem.” Stary zgłupiał na tę prośbę, nie mógł uwierzyć, że to syn jego skreślił te słowa, słowa w których była śmierć jego tyloletnich nadziei i zamiarów. Pojechał copredziej do Krakowa. Syn z uciechą rzucił się ku ojcu wchodzącemu we drzwi. Stary odepchnął go od siebie.

— Leon, ty zwaryował.

— Mój ojcie, ja tylko przejrzałem że uczonym nie będę, a rzeźbiarzem być mogę, bo mam wielką chęć do tego.

— Ty lajdak kamieniarz, ty mój syn kamieniarz, wołał stary, ochrzypły i trzęsący się od gniewu. Ty musisz się uczyć, ojciec każe!

— Nie będę ojcie, bo czas zmarnuję w szkołach....

— Musisz, musisz, wołał stary, tłukąc pięścią o pięść, a potem te pięście obrócił na głowę Leona.

Leon się nie bronił, stał i zaciął wargi z bólu. Ani jednéj łzy nie uronił. Gniew ojca rozbil się o tę kamienną, zaciętą wytrwałość. Z groźb zlagodniał w prośby i poczał prosić:

— Leonku, ty tego nie zrobisz, boby ty przyprowadził do grobu twojemu ojcu.

Na wspomnienie grobu rozczulił się stary i poczał płakać. Syn przystąpił do niego z pokorą, pocałował go w rękę i rzekł:

— Ojcie, pozwól mi iść tam, gdzie mnie chęć wiedzy; wszak to cała moja przyszłość od tego zależy, a wolę że sobie winę przypiszę, gdybym tego kroku pożałował, niż żebyś na ciebie narzekał. Czy książkę, czy dłużej będę służył krajowi, to wszystko jedno, abym tylko był pocziwym człowiekiem.

— Djabel mnie po twego pocziwości, po twego służba dla kraj. Kraj na ciebie nie pracował, kraj tobie jesć nie dał, co tobie do kraj? Ty ojca słuchaj. Ja chęć żeby ty był pan, nie kamieniarz, rozumiesz?

W tej chwili z drugiego pokoju dał się słyszeć głośny, szyderczy śmiech pensjonarzy, którzy z zado-

wolaniem przysłuchiwali się tej rozmowie. Leon poczerwieniał.

— Ojcie, nie narażaj mnie na wstyd przed tymi, od których i tak dość mam znośić.

— Będę krzyczeć, będę krzyczeć, niech się śmieją, kiedy nie chcesz słuchać ojciec, co cię między magnackiego dzieci oddał. Ja ciebie będzie wszystko odebrać, wypędzić.

Z drugiego pokoju zaczęły się wychylać ciekawe głowy i młode paniczki drwiąc wołali:

Tak, będzie wypędzić...

To już nadto było dla Leona. Wybiegł z domu i zarumieniony i zdyszany, leciał sam nie wiedząc gdzie, byleby cokolwiek i conajprędzej uciec od tego wstydu jaki go spotkał. W tej gorączce poleciał przez błonie, aż ku mogile Kościuszki. Zmęczenie uspokoiło go trochę; siadł pod topolą i począł rzewnie płakać, jak nigdy jeszcze. Nie było to jednak lzy samej boleści, była tam na dnie ich jakaś myśl błoga, szczęśliwa. Gdy otarł oczy, począł patrzeć po okolicy. Okolica znana, a jednak jak nowa, jak ujmująca w każdej chwili! Dołem Wisła, nad nią klasztor biały, dalej wieżycie Krakowa jak maszty okrętowe, a za tym w tyle i w bok sine góry i jasne, rozpięte niebo.

— Mój Boże, mówił sobie chłopiec, ziemia taka słiczna, czemu ludzie nie tacy?

Tymczasem wieczór się zbliżał, cicho występowały gwiazdy na niebie jedna po drugiej. Leon przypomniał sobie, że trzeba iść; ale gdzie? Na pensję już wrócić nie chciał, do domu rodziców daleko, więc obszedł mogilę i zapukał do pustelnika.

— A kto tam? pytał siwy staruszek, wychodząc ze świątyni.

— Przenocujcie mnie, staruszk, prosił Leon.

— A cóż panicz tu na noc sprowadza? pytał starzec i głęboko patrzył w oczy chłopcu, że ten je spuścić ku ziemi musiał, czy panicz nie wie drogi do domu?

— Wiem, mówił jakając się Leon, ale dom daleko.

— A jak tu panicz się dostał?..

Leon, nie chcąc dalej kłamać, opowiedział staruszkowi prawdę.

— To źle, mój paniczu, robicie. Wola rodziców, to święta wola, a jeżeli źle robią, to odpowiedzą przed Bogiem za to; ale dzieci powinny być posłuszne. Jakby się posłuszeństwo osłabiło w rodzinie, to byłoby tyle, co ją rozerwać. Widzisz, mój paniczu, kto nie kocha rodziców, ten kraju nie kocha; bo kochać kawał ziemi, to jeszcze nie miłość; trzeba kochać ludzi, a z ludzi któż ci najbliższy, jeżeli nie ojciec i matka? A patrzno na mnie, czemu ja tę lichą suknię na siebie wdziałem? Mógłbym ja inaczej żyć dzisiaj, ale mi grzech nie daje. Miałem ojca biednego, był wyrobnikiem, a ja pracą wygrzebałem się na pana, a ojca się wstydził. Uikałem go, a jak mi sumienie poczęło wyrzucać, to stałem ojcu grosz na zapomogę i myślałem że to dosyć. Aż starowina umarł, a przed śmiercią wezwał mnie, oddał wszystkie pieniądze i powiedział: „Z głodu a niedostatku ja ginę, alem ci nie tknął twoich pieniędzy, bo ja od syna jałmużny nie chcę, jeno pomocy i przywiązania.“ To były ostatnie słowa starego ojca, co mi kłatwą na duszę upadły. Com nie robił, żeby je zatrzeć w sobie. To najprzód w hulanki i swawolę się puszczałem, ale nie pomogło; to dawałem duże jałmużny biednym, ale mi nie uspokoili; biłem się za kraj, nie szczędziłem krwi, ale wciąż źle było. Aż w pustelniczej sukni znalazłem trochę spokoju.

— Mój staruszk, i cóż ja poradzę, kiedy mam coś takiego w sobie, że na upór upór się rodzi we mnie, zwłaszcza tam, gdzie widzę słuszność przy sobie? Ja radbym potem pokutował za to; ale inaczej zrobić nie mogę.

— O mój synu! pokuta nie maże winy, jeżeli poprawy w życiu niema. Grzeczniakiem ten zawsze będzie, kto okradnie, a kradzieży nie wróci, kto zbezczesci, a czi nie wróci, kto zasmuci, a nie pocieszy; będzie grzeczniakiem, choćby pościł, biczował się i pielgrzymował.

Takie rady dawał staruszek Leonowi późno w noc i skruszył go niemi, bo nazajutrz rano Leon poszedł piechotą prosto do domu rodziców. W drodze uczuł głód; przykre to uczucie, którego dotąd nigdy nie doświadczał; przestraszyło go. Zamyslił się coby począł bez rodziców opieki, bez sposobu do życia. Przechodził właśnie koło przewozu na Wiśle pod zamkiem. Nad rzeką koło galaru stało kilku węglarzy.

— Panicz po węgle? spytali. Ja zaniosę, rzekł jeden, za sześć groszy zaniosę.

Leon spojrzął na nich błędnymi oczami; potem opanował się gdzie jest i rzekł:

— Dajcie mi sześć groszy, to ja za wami zaniosę.

— Panicz drwi z nas.

W tej chwili jakaś pani zawołała na węglarzy, by który poniósł za nią węgle.

— Moi dobrzy ludzie, pożyczcie mi koszyka, ja poniosę, mnie potrzeba zarobić...

Węglarze zdziwieni, niedowierzająco patrzyli na młodego, lecz dla samej ciekawości co to będzie, dali mu kosz. Leon pobiegł na galar, a potem, uginając się pod pełnym koszem, poszedł w miasto.

Kto musiał w wczesnej młodości pracować na chleb, wie jaką dumą i radością przejmie człowieka pierwszy zapracowany grosz. Leon, dostawszy dwa trojaki do ręki, czuł się tak dumnym i szczęśliwym jak nigdy; śmiało spojrzął w przyszłość, bo sobie mógł powiedzieć: ja już zapracuję na siebie. Taka chwila obudza w człowieku samodzielność. Chciałby był zachować na pamiątkę te pieniądze, ale głód mu dokuczał: poszedł, kupił sobie chleba i szedł z koszem nad Wisłę.

— Dziękuję wam za kosz, rzekł oddając.

— Pewnie panicza jakie nieszczęście przywiodło do tego, że tak ciężko pracować musi? pytali z politowaniem i ciekawością węglarze, patrząc na porządną odzież jego.

— Głód, moi drodzy. Trochę w tym mojej winy, ale darmo. Prosić o chleb nie chciałem, więc zapracować musiałem. Bądźcie zdrowi.

Pożegnał ich i poszedł do domu rodziców. Drugiego dnia zmęczony, zakurzony, wszedł do ich domu. Nie spodziewał się takiego powitania jakie zastał. Ojciec, zobaczywszy go, zapalił się nanowo.

— Po co ty lajdak przychodzisz?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

13 marca.

Wypadki ateńskie znowu zwróciły na siebie powszechniejszą uwagę. Rząd utworzony w d. 23 października r. z., nie okazał właściwych zdolności i zręczności politycznej. Prezes rządu Bulgari, wraz z swym towarzyszem Rufos, skorzystali z wystąpienia Kanarisa i bezpośrednio zamianowali ministrów. Wprawdzie większość zgromadzenia narodowego zgodziła się na powyższy postępek Bulgari, ale opozycja Góry, znalazłszy poparcie w opinii publicznej, wystąpiła przeciw temu zamachowi stanu. W nocy z dnia 20 na 21 lutego, syn Kanarisa poprowadził część piechoty i ułanów na plac Konstytucyj, z zamiarem opanowania domu prezesa rządu. Zamach ten nie udał się, lecz o trzeciej z rana cała ludność oświadczyła się przeciw rządowi tymczasowemu. Bulgari udał się pod opiekę gwardyi narodowej i natychmiast mianował nowego dla niej dowódcę; ale gwardya narodowa oświadczyła, iż takiego tylko wodza przyjąć może, który z ramienia zgromadzenia narodowego przeznaczonym będzie. O w pół do dziesiątej deputowani zebrali się, projektując aby na miejsce Kanarisa, wybranym był Grivas młodszy. Propozycja ta nie zadowolili nikogo. Tymczasem Rufos podał się do dymisji wraz z Bulgarem, i rząd tymczasowy de facto rozwiązany został. Zgromadzenie narodowe, pod wpływem tego zdarzenia, przyjęło jednomyślnie uchwałę następującą: „Zgromadzenie narodowe samo bierze na siebie władzę wykonawczą, za pośrednictwem swego wice-marszałka, i zachowa ją dopóty, póki nie wyda uchwały co do utworzenia nowego rządu.“ Z tym wszystkim zgromadzenie cofnęło nazajutrz ten dekret i wydało inny, powierzający władzę wykonawczą trzem członkom. Nareszcie w dniu 23 z. m. zgromadzenie przystąpiło do wyboru członków rządu przez głosowanie publiczne. Rezultat był następujący: prezes Valbis; spraw wewnętrznych Argerinos; spraw zagranicznych Maurocordatos; skarbu Caralambis; sprawiedliwości Papazafropulo; wojny Smoleński; oświecenia Dosisos; marynarki Budaris. Tak więc spokojność przywrócona została, a wojska i gwardya narodowa złożyły na placu zgody przysięgę na wierność zgromadzeniu narodowemu.

Dienniki angielskie zajęte są wyłącznie prawie zaślubinami księżniczki Aleksandry duńskiej z księciem Wallii. Z tegoż powodu izba gmin zawiesiła na dni kilka swoje posiedzenia. Na wniosek lorda Palmerstona, izba odroczyła obrady nad interpelacjami pana Cochrane w kwestyi greckiej. Zdaje się że w kwe-

sty ustąpienia wysp jońskich nowe zaszły trudności. Co do sporu brazylijskiego, to z dokumentów złożonych w parlamencie okazuje się, że król Leopold belgijski przyjął propozycją Brazylii i Anglii i zgadza się być rozjemcą w tym sporze. Ślub księcia Wallii nastąpił w dniu 9 b. m.

Z Meksyku nic nowego. W senacie francuzkim zajęć się mają projektem rządowym w przedmiocie organizacji Algierii, zgodnie z listem cesarza Napoleona. Sądzą że książę Napoleon, który zabierał już w radzie stanu głos w tej sprawie, wystąpi także i w senacie z wnioskiem przeciwnym rządowemu.

Izba włoska odbywa codzienne narady w kwestyi budżetowej. Korrespondencye z Neapolu mówią o wielkim meetingu, pod prezydencją deputowanego Ricciardi, na którym między innemi postanowiono wezwać rząd o przeniesienie stolicy Włoch do jednego z miast środkowych. Podobne meetingi odbyły się i w innych miastach. Rzecz prosta że te pia desideria pozostaną bez skutku, gdyż rząd uważa jedynie Turyn, a w przyszłości Rzym za stolicę państwa. Zdrowie ojca św. budy wielką obawą, tem bardziej że osierocenie stolicy apostolskiej, mogłoby stać się obecnie niebezpiecznym dla władzy doczesnej. Mówią że kardynałowie zajmują się już przyszłym conclave i wyborem następcy Piusa IX; zdaje się wszakże iż te domysły korrespondentów są przedwczesne. Aresztowanie niejakiego Fausti, wywołało, jak wiadomo, wielkie oburzenie w kardynale Antonellim, który nawet podał się do dymisji. Dowiadujemy się obecnie, że za tym przykładem poszedł także i minister skarbu; ale ojciec św. postanowił utrzymać cały gabinet i wezwał księdza Merode aby przeprosił kardynała.

Według depezy z d. 9 marca, w Berlinie znowu krążyły wieści o zmianie ministeryalnej. W pogłoskach tych niema dotąd nic pewnego. W izbie podano wniosek o odpowiedzialności ministrów. Według dziennika l'Europe, gabinet wiedeński przesłał różnym rządóm niemieckim notę odpowiadającą na depezę p. Bismarck. Nota pruska oskarżała rząd wiedeński, iż w kwestyi reformy związkowej nie zachował należnych Prusom względów; depeza austriacka zbija ten zarzut. Według Wiener Ztg. sultan przyjął posła czarnogórskiego bardzo łaskawie i obiecał spełnić wynurzone życzenia. List cesarza do arcyksięcia Rainera nakazuje bezzwłoczne utworzenie austriackiego muzeum sztuk i przemysłu.

Niezadowolenie z działań prezydenta Lincoln'a w Ameryce wzrasta z dniem każdym. Stan armii jest smutnym; są pulki, które od sześciu miesięcy ani grosza żołdu nie otrzymały. Prezydent twierdzi, że sto dwadzieścia maszyn dniem i nocą odbija papierową monetę, a jednak nie mogą nastarczyć żądaniom liwerantów, armatorów, marynarki i lądowego wojska; przeciwnicy zaś gabinetu powiadają, że wstrzymanie żołdu ma na celu utrzymanie żołnierzy w szeregach, ci bowiem natychmiast po odebraniu żołdu opuściliby chorągiew. Bądź co bądź, położenie rządu waszyngtońskiego jest opłakane, i ani mowy być nie może o uśmierzeniu południa. Wojna domowa toczy się jeszcze, chociaż z mniejszą już zaciętością. Południowi rozpoczęli w d. 18 lutego atak na Vicksburg, ale nawet zdobycie tego miasta nie polepszy ich sprawy.

Ind. Belg. Patrie, Schles. Ztg. Jour. des Deb. Constit.)

Ostatnie depeze. Wiedeń 10 marca. Na dzisiejszej radzie ministrów, odbytej pod prezydencją samego cesarza, sejm galicyjski odroczonym został do dnia 29 marca.

Turyn 11 marca. Dziś w senacie skończyły się rozprawy o projekcie do prawa o pożyczce. Scialoja i Revel przemawiali za prawem. Prawo przyjęto większością 116 głosów przeciw 5.

Londyn 11 marca. Wiadomości z New-Yorku z 28 z. m. donoszą, że 5,000 murzynów dowodzonych przez białych oficerów, uda się niezadługo do zaludnionych okęgów południowych, ażeby niewolników do broni wezwać. Do 20 z. m. nie atakowano ani Vicksburga, ani Charlestonu. Generałowi Banks nie powiodło się w Nowym Orleanie.

Londyn 10 marca. Agencja Reuter otrzymała z Konstantynopola depezę z 9 b. m. Nowy układ nastąpił między Portą i Czarnogorą; Porta wyrzeka się budowania blokhauzów, a książę zaręcza utrzymanie pokoju.